

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 28 MAJA 1927 ROKU

NR 22

TREŚĆ NUMERU: Viribus unitis — H. N. Fermenty czasu — M. H. Szpyrkówna. Felicja Kruszevska (c. d.) — Wanda Borudzka. Wiersz: „Do siostry” — B. Zan. Motyw księżycy (nowela) c. d. — Herminja Naglerowa (J-a Stycz). Plantator z Malaty (c. d.) — J. Conrad. Żeńskie obozy letnie przysposobienia wojskowego. Kobieta w świecie i w domu — W. S. Z książek — Z. M. Z życia muzycznego — P. L. Z teatrów — S. P. O. Kostjmy sportowe naszych sportswomen — M. Brzydkie owoce — Stan. Schönfeld. Zdrojowiska, letniska i kąpieliska w Wielkopolsce i na Pomorzu — W. D. Pokaz jedwabniczy — Pani Elżbieta. Koral — J. S. Przepisy gospodarskie — Pani Elżbieta. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Pantofelki — Well. Kamizelka haftowana, lub ozdobiona aplikacją. Serwetka haftowana w rumianki. Dodatek powieściowy: „Rąbek zasłony” — Colette Yver, autoryzowany przekład S. Ł. Arkusz wzorów.

VIRIBUS UNITIS

Viribus unitis! Jakież to stare i mądre słowa! Zawsze odbudowujące to, co grozi już zawaleniem się, zawsze skrętnie pracowite i skupiające odrobiny energii w całość czynu.

Jak krótki, bezwzględny rozkaz wodza brzmi dźwięk tych słów. Obrazowo jawią się nam, jak wielki łańcuch ramion. A treść ich jest tak doświadczona, że zbędnem wydaje się wszelkie dialektyczne dowodzenie ich oczywistości, konieczności i celowości.

Jednakże umysł ludzki w jednakiej mierze posiłkuje się syntezą i analizą. Stąd też bywają epoki, w których konstruuje się monumentalne dzieła, dzięki właśnie syntezie. Bywają też okresy, kiedy myśl ludzka zdolna jest tylko do pracy rozproszkowanej, mielącej niejako na drobiazgi każdą sprawę. Wtedy mówi się, że całość powinna się złożyć — sama.

Po tym, nieco odległym, wstępie, podążę już prostą drogą do tematu, któremu właśnie przystoi nagłówek: „Viribus unitis”.

Otóż wielki ruch emancypacyjny kobiet musiał, jak każdy potężny przewrót społeczny, wywołać zamieszanie w dawnym, ustalonym porządku świata. Ten dawny porządek świata opierał się, jak wiadomo, na podstawowym podziale pracy według przynależności do płci męskiej, lub żeńskiej. Istniały więc oddzielne dziedziny i wznosiły się ściśle rozgraniczające barjery, których przekroczenie było przestępstwem, grzechem, hańbą, albo śmiesznością.

Dziś zerwano graniczne szlabany — w teorii. W praktyce, bowiem, stary nawyk trzyma się kurczowo dawno wyuczonych zasad i psuje, gdzie i jak może,

wspaniałą pracę postępu. Co więcej, psuje konstrukcję całokształtu pracy.

Walka o równouprawnienie kobiet musi się więc toczyć w dalszym ciągu, mimo iż zdawałoby się, że kobiety otrzymały już wszystko, że prawa ich stwierdzają ustawy i konstytucje. W tej walce, mającej na celu przemianę pięknej teorii w stosowaną praktykę, zużywa się jednak część energii na zdobywanie bastionów upor, twierdz przesądów i t. p. fortyfikacji, za które schronił się męczyzna, broniąc się z zacieklnością i z podziwu godnym bohaterstwem. Dzieje się to ze szkodą wspólnego wysiłku, z uszczerbkiem zjednoczonej pracy dla dobra społeczeństw, państw, wreszcie — całej ludzkości.

Przy podziale pracy powinna, bowiem, obowiązywać jedna tylko zasada: faktyczne uzdolnienie, oparte na fachowym przygotowaniu. Jest to jedyna sprawiedliwa formuła, przyjęta ongiś jeszcze w „Deklaracji praw człowieka i obywatela”, kiedy to w pierwszych brzaskach Wielkiej Rewolucji francuskiej upadał w gruzy feudalny egoizm.

Okazuje się, jednak, że jeżeli nie łatwo dają się pokonać przesady stanowe, to o wiele trudniej jest o przymierze między obydwoma rodzajami ludzkiemi. Co krok spotykamy się, bowiem, z wyraźnem omijaniem, ustawami zawarowanego, równouprawnienia kobiet. Aż nazbyt wyraźne jest pomijanie fachowo wykształconych sił kobiecych przy obsadzaniu wyższych, a nawet niższych stanowisk. Nikt nie stosuje w tych sprawach jedynie słusznego miernika: zdolności, lecz apriorystycznie rozstrzyga się na niekorzyść kobiet.

System ten doprowadza wreszcie do tego, że u nas, na przykład, kobiety nie mają już odwagi pretendować o pewne stanowiska, wiedząc zgóry, że ich podania i kandydatury będą odrzucone. I tak, wbrew pięknie brzmiącej teorii, w praktyce istnieje w dalszym ciągu pradawny podział pracy na: męską i żeńską.

Aż nazbyt często słyszy się cynicznie jawne wynurzenia owych rozdawców stanowisk: „Nie możemy robić precedensu!”, albo: „Nie przyjmujemy kobiet!”. Tak gładziutko, prosto, śmiało: „Nie przyjmujemy!”

— Dlaczego, szanowny panie?

— Dlaczego? — tu następuje pauza — a potem jakiegokolwiek wykrętne tłumaczenia się.

Znamy już wszystkie, długą litanję argumentów, których początkiem i końcem jest odmawianie kobiecie: inicjatywy, samodzielności, szerszego horyzontu i t. d. Prawie każdy mężczyzna umie to napamięć i przy lada sposobności z wrodzoną sobie odwagą rzuca kobiecie w twarz najobrazliwsze i nigdy przez nikogo niedowiedzione inwektywy, czy to pod adresem przyrodzonych zdolności, czy też pod adresem jej charakteru.

Znam jednego pana, który zupełnie poważnie oświadcza, że nie mógłby pracować pod kierunkiem szefa-kobiety. Nawet genialnie zdolnej kobiety!

— Dlaczego, szanowny panie?

— Dlaczego? — i krew uderza mu do głowy. — Bo nie mógłbym, bo to jest poprostu nie do pomyślenia!

Oczywiście, że racja jest dostateczna, a z logiką męską nie tak łatwo dojść do ładu.

Lecz żart nabok. Sprawa jest zbyt ważna i poważna, i wszelkie „ambicje”, tak z naszej, jak i ze strony mężczyzn, nie mogą być brane w rachubę.

Buduje się, bowiem, w naszych oczach — nowa epoka. Wojna powszechna ujawniła tak poważne luki i błędy w każdej dziedzinie naszego życia, że trzeba sobie wreszcie powiedzieć: świat wyłącznie męski zbankrutował! Pasywa są tak olbrzymie, że konieczne jest uruchomienie całego kapitału energii ludzkiej,

aby klęska nie stała się ruiną, „ruina — całkowitym upadkiem”.

Mówię o całej energii ludzkiej, to znaczy o maksimum, jakie potrafi z siebie wydobyć cała ludzkość: mężczyźni i kobiety. Dlatego nie wolno dokonywać selekcji sił pod ciasnym kątem patrzenia, nie wolno dawać pierwszeństwa niezdolnemu i nieobowiązkowemu mężczyźnie tylko dlatego, że jest mężczyzną. Otwarty konkurs pracy, a nie podstępna konkurencja, nie protekcjonizm, nie klan! — oto, czem powinno się dziś kierować w doborze wartościowych pracowników.

Myszę, że tendencje moje są dość jasne. Nie chodzi mi przecież o „wydzieranie” stanowisk i placówek, ale o rozumny przydział pracy. Podkreślam: przydział, a nie podział!

A wtedy dopiero stanie się pełnowartościowym hasło: „viribus unitis”. Wtedy wspólnymi siłami można będzie wydzwignąć świat z upadku. Z upadku, którego przyczyną jest może właśnie jednostronność pracy, ominięcie tych czynników twórczej energii, jakie posiada kobieta. Świat średniowieczny musiał się przeżyć, musiał umrzeć na chorobę stanowości, świat dzisiejszy umiera na chorobę jednostronnej walki obu płci. Nas, oczywiście, obchodzą przede wszystkim klęskowe objawy, zagrażające naszej ojczyźnie. Słyszymy niejednokrotnie narzekania, że niema u nas ludzi, zdolnych do pracy. W istocie jest tej pracy odrodzeńczej ogromnie wiele, w istocie musi ona być dokonana szybko i dobrze. Czyż, jednak, pomyślał kto o wciągnięciu kobiet do tej pracy inaczej, jak tylko dodatkowo, bodaj na odczepnego? Tymczasem zaś kobieta polska, może bardziej, niż którakolwiek, powinna bez umniejszeń korzystać z pełnych praw obywatelskich. I to nietylko w nagrodę za jej ofiarną pracę w czasach niewoli, bo nie o ambicjach, odznaczeniach, czy liczmanach wdzięczności tu mowa, ale o zużytkowaniu wartościowych sił w sprawie powszechnej.

I tak właśnie należy rozumieć to stare i mądre hasło: — „viribus unitis!”

dr. H. N.

M. H. SZPYRKÓWNA

FERMENTY CZASU

Niespokojne gwiazdy krążą ostatnio nad światem, i jak echo, przedziwne prądy przeciągają nad Warszawą. Żle, zresztą, mówię, nad Warszawą: Przeciągają przez nią samą, przez jej życie wewnętrzne i zewnętrzne, przez osiedzie narodu. Bo, jakkolwiek ktokolwiekby sądził, stolica, mimo wszystkie zalety intelektualne, czy moralne, czy finansowe innych miast, — jest sercem kraju.

Otóż to nasze serce dostaje rozszerzenia z powodu nadmiaru różnorodnych zjawisk, jakie przeżywa. Jakgdyby w nasze jednolite dotąd życie wdarł się szczelina hasający gdzieś po wielkich bezdrożach świata samum, i raz poraz nawiewa góry piasku na tę, to znów na inną płaszczyznę naszego bytowania. Buduje na chwilę przeraźliwe, albo fascynujące kształty, które inny powiew obali znowu w proch.

Niespokojne gwiazdy ciągną nad światem! W dalekich Chinach „upadają i powstają trony“, a wstrząs odbija się echem na drugim końcu kontynentu, w niewzruszonej doniedawna Anglii. W Ameryce straszliwe klęski rozpętanych wód spłókują z powierzchni ziemi miasta, jak dziecinne fortece z piasku. W Argentynie za wiarę leje się krew ludzka: każdy chce, aby inny zegnał się jego krzyżem, bo wszelki inny jest gorszy. Na południowych morzach dymią wulkany i lądy dają niespodziewanie nura w wodę, jakby znudzone wreszcie patrzeniem na wrzaskliwy i wiecznie kłóący się świat.

Z dna mórz zaś ciekawie wysuwają głowy nieznanne dotąd szczyty. A prokurserzy tych, czy innych teoryj tajemnych głoszą, że oto zbliża się okres dwutysięczny, a dwa tysiące lat — to pewien cykl zamknięty dziejów, kiedy stare umiera, a nowe rodzi się w huku piorunów i wstrząsach ziemi.

Niepokój epoki odbija się, oczywiście, na prądach, nurtujących naród, a zwłaszcza jego większe ośrodki. Poprostu, życie jakgdyby szukało innych form w wielu, we wszystkich, nieomal, kierunkach — i przymierza się tak i owak, aż natrafi na odpowiednią. Zanim jednak natrafi, powstają najdziwniejsze dziwolągi, krzyżujące się z już ustalonymi i zastygłymi w tradycji modelami — i szczególne to połączenie upartej przeszłości z dniem, nieomal, jutrzejszym wytwarza konieczny chaos.

Życie zatracą jednolitość i nawet pozornie — celowość. Staje się, jak ów dywan, widziany z lewej strony, słowami poety — gmatwaniną poplątanych nici i barw.

Zanim go czas wykończy i odwróci powoli na prawą, aby myśl przewodnia jego wzoru dała się zrozumieć, minie zapewne chwila.

A chwila w wieczności rozciąga się na długie lata. Czas, bawiący się piłkami z zaokrąglonych tysiącleci, nie ma potrzeby robić popłochu.

Skąd bierze sposoby człowiek współczesny do poznania krążących w otaczającej go masie ludzi prądów? Śmiesznie to brzmi, ale przecie tak jest: z kurjerków.

Jedne z nich są czerwone z barwy, inne — z treści, jeszcze inne są wogóle z partji K. W. Z.: kędy wiatr zawieje.

Podają wiadomości zniekształcone, umyślnie ubrane w strój najbardziej fascynujący, jakkolwiek daleki od istoty rzeczy. Pozory wiarygodności, jednak, są, a któż ma czas i możność sprawdzać, jak to tam było istotnie?!

Pierwszą więc informacją jest — prasa. Drugą — środowisko

żywe, z którym się stykamy i które czasem, w osobach swych członków poszczególnych, należy do tych lub innych kierunków, stowarzyszeń, kół zamkniętych.

Trzecie źródło — to my sami, t. j. bezpośrednia nasza przynależność, lub powiadomienie o tych, czy innych kierunkach.

Są to jedyne, jakie mi w tej chwili na myśl przychodzą, sposoby poinformowania się, co się naprawdę w społeczeństwie dzieje, bo przez radio o tem jeszcze nie mówią.

Nie jest, zresztą, wykluczone, że za czas jakiś, celem powiadomienia „w krótkiej drodze“ zajętego współczesnika o najnowszych sensacjach dnia, usłyszymy znaną inkantację:

— Hallo, hallo. Polskie radio. Dziś w nocy została otwarta w Warszawie, pod mostem Poniatowskiego, w podziemiach tunelu, pierwsza Łoża Zjednoczonych Bandytów. Specjalni przedstawiciele spotkali na dworcu delegację sympatyków zagranicznych. Policja czuwała, aby obchód odbył się bez zakłócenia porządku publicznego. Zapisy na członków co nocy. Zadaniem łoży jest powiązanie techniki dzisiejszej ze wspianiem tradycjami przeszłości.

Dla nieobeznanego obywatela dzieją się dziś dokoła rzeczy tajemnicze, jak obrządki łoży masonskiej. Nie mówię, oczywiście, o polityce, tylko o tych kierunkach, które dotyczą, raczej, strony duchowej człowieka. Jakgdyby ludzkość, zbankrutowawszy na swej wierze w administrację państwową, która nie obroniła jej od rzezi wojennej i walki pokojowej — postanowiła sobie poszukać ostoi wewnątrz. Polska, względnie jednolita pod względem wiary i nastawienia myślowego, nagle zaroila się od rozmaitych nowotworów, mających dać strawę duchową, czy myślową. Powstaje cały szereg wydawnictw, towarzystw, kółek i związków, mniej, lub więcej zamkniętych, dla badania stron życia, mniej, lub więcej nieznanych. Badają tam i psychikę, i fizykę, i metapsychikę, i psychofizykę, i metafizykę. Wydają piśmka o czarach, i o przepowiedniach, i o końcu świata, i o nowych drogach poznania.

Ułamki pracowitych ludzkich dociekań, okruchy prawdziwej wiedzy są tam pomieszane z najnieprawdopodobniejszymi bredniami półinteligentkich duchoburczych pouczeń, rozpowszechnianych w ciemnych umysłowo klasach narodu, z ich znakomitem ogłupianiem.

Seanse różnego typu i pokroju migocą ognikami fałszywych i prawdziwych zjaw. Kliniki rejestrują ciekawe i rzadkie wypadki chorób psychicznych, czy umy-



słowych, a jednocześnie zjawiają się lekarze-jasnowidze, hypnotyzerzy i magnetyzerzy. Wszyscy mieli „mistrza na Wschodzie“, przeszli przedziwne wtajemniczenia i nie zdążyli naturalnie, skutkiem tego, zatroszczyć się o zwykły dyplom medyczny. A wyniki leczenia są nieraz zdumiewające i przez samą medycynę uznane, jako takie.

Stąd rozłam: co ważniejsze? Prawdziwa, praktyczna umiejętność leczenia, czy stopień naukowy, podległy pewnej kontroli? Kwestja wypływa coraz częściej na forum publiczne — jak dotąd, jeszcze nie rozstrzygnięta zasadniczo. W praktyce, jednak, stanowi poważny już rozdźwięk.

Taki sam ferment wyczuwa się w prądach etycznych, zahaczających bardzo blisko o sprawy religijne i obrzędowe. Dzienniki donoszą razporaz o jakichś nabożeństwach, odbywających się pod znakiem rozmaitych — wschodnich przeważnie — wtajemniczeń, o pełnych nowej treści obrządkach, uzdrawiających, oświecających, rozwijających takie a takie władze człowieka i jego ducha.

Szkół niemieckiego filozofa i mistyka Szteinerja, zagranicą mająca swe regularne uczelnie dla młodzieży z maturą rządową, zaczyna u nas znajdować zorganizowanych już w kółka i studia zwolenników.

Teozofja i jej odczyty są zbyt szeroko znane, aby o nich mówić, jako o czemś tajemnem. Oczywiście, nie wyczerpują one działania T-wa, najlepiej może zorganizowanego i doskonale lansującego swoje postulaty.

Zahaczają o dziedzinę społeczną przez idee braterstwa i „związek służenia“, nie mówiąc o pewnej secesji od regularnego katolickiego obrządku: trzeba więc czekać, aż kościół zajmie jakieś stanowisko w tej sprawie, które narazie jeszcze zdecydowaniem nie jest.

Mniejsze kółka hołdują mniejszym bożkom — ale zawsze są tam jakieś obce, wschodnie nazwy, rytuał, ideje.

W powodzi tej obczyzny tuła się czasem jakaś organizacja, zamierzona ku odrodzeniu „polskości z ducha“ na wzorach wielkich filozofów i mistyków polskich, do dziś jeszcze ogółowi niedostępnych: Hoene-Wroński, Trentowski, Cieszkowki — ale są niedość sprężystości prowadzone i umierają śmiercią naturalną.

Słyszymy o wielkich pieniądzach, wysyłanych ze składek do zagranicznych protektoratów, w myśl ustaw.

Słyszymy o klubach samobójców wśród młodzieży, które, zdawałoby się, powinny zlokalizować się w Bolszewji, gdzie czas jakiś były plagą szkolną. Przyjeżdżają do nas wciąż jacyś „dostojni“ goście z zagranicy. Wygłaszają odczyty, produkują sztuki plastyczne, zostawiają programy, urządzają propagandę nowej Europy, nowej Ameryki, a czasem — nowej Azji.

I wszystko to nawet byłoby bardzo interesujące, gdyby nie to, że wyglądamy trochę na forsownie tuczonego indyka świątecznego, który nie może nadążyć łykaniu gałek, wpychanych mu przez troskliwą opiekę do wąskiego, względnie, przełyku. Odpadła od nas własna przedwojenna filozofja, u wielu — psychologia, u wielu — wiara. Ale nie zdążyliśmy jeszcze, w swoich warunkach, ze swoich materiałów urobić swojej nowej: zasypuje nas obcokrajowa, egzotyczna, bardzo nieraz ciekawa, ale nie polska stanowczo z treści, nawała spreparowanych już gałek, które, kto wie, czy dobrze strawimy? I czy nie trzeba będzie dużo zbawienego rabarbaru, aby oczyścić organizm od niepożądanego balastu, gwoźli przetrwania tego, na co nas stać?

Myślę, że czas przestać pomijać to, co się dzieje koło nas w umysłach żywych i jakieś wiedzy żywej spragnionych. Że czas to posegregować. Że nie można zamykać oczu na wszystko ryczałtem, co jest „nowe“, bo prababki o tem nie wiedziały i były szczęśliwe, a z drugiej strony — „chwycić wszystko nowe, jako objawienie“, bo zagranicą wszyscy już to uznają.

Myślę, że trzeba wziąć duże sito — i przesiać to „nowe“.

Niewątpliwie, coś odejdzie na plewy. Jednak zostanie dość dużo dobrych ziaren. Kobiety z prowincji, zwłaszcza, spragnione zainteresowań, które dałyby im strawę duchową: dążą do odnowienia życia, i całe szczęście, że tak jest. A wiedza zrobiła olbrzymi postęp w dziedzinie odpowiedniego wyzyskania bogactwa sił psychicznych, w najbardziej odległych i praktycznych dziedzinach. Sądę, że czytelniczki „Bluszcza“ zainteresują dociekania kobiety-lekarka, p. Gardner, która ujmuje zasady zdrowia i choroby, zależnie od życia psychicznego człowieka, jego zła i dobra? Bo zło w ciele fizycznym odbija się jako choroba. Są tam naprawdę ciekawe, cenne i powiedziałabym, głęboko etyczne uświatlenia starych prawd światłem wiedzy dzisiejszej.



WANDA BORUDZKA

6

FELICJA KRUSZEWSKA

„PRZEDWIOŚNIE“. „STĄD — DOTĄD“

Mimo, że cykl „Owoce“ niczem nie jest związany z poprzednim, radość istnienia, która, naprzekór wszystkiemu, wylewa szeroką falą na życiowy brzeg w „Piosenkach Biedactwa“, znajdzie w nim właśnie ujście.

Krok tylko ją dzieli od atmosfery, otaczającej „Owoce“.

Postawienie go jest tem łatwiejsze, że jest to przejście do rzeczy samej w sobie radosnej, jaką zawsze musi być widok dojrzewających owoców. Tembardziej, że brakowało tego „biedactwu“ tak bardzo, że aż misterjum śmierci przeobraziło sobie w kwiaty, słońce i zielen ogrodu.

Wiersze te w znacznej ich części są jakby pisane przez to samo „biedactwo“, nie upadające już jednak pod ciężarem kłopotów życiowych, ale wesołe, opalone i wypoczęte. Forma ich przypomina „Piosenki“. Te same proste, podwójne rymy, naiwny sposób ujęcia zjawisk, oraz typowa skłonność do superlatywów. Często mamy tu również powtarzanie tych samych wyrazów, np. dziecienny sposób wzmacniania akcentu przez „bardzo“:

Jeszcze lato nie przyszło, jeszcze jest bardzo wcześnie,
Chwieją się, chwieją wśród liści duże, różowe czereśnie,
Na długich, zielonych nóżkach chwieją się w różne
[strony,
Słońce jest bardzo złote, a ogród bardzo zielony.

Ten sam nastrój wycofania ze świata, przytłumienia wszystkich, nie tylko języczków, ale i radości, nie płynących bezpośrednio z klarowności zieleni, lub słodczy rozplwającego się w ustach owocu, mamy w wierszu „Porzeczek“:

Południe przechodzi przez ogród. Niebo jest białe
[prawie,
Pośród zielonych krzaków leżymy sobie na trawie,
I jemy dobre porzeczki, ile do ust się zmieści,
Po dwie, po pięć, po osiem, po dziesięć i po dwa-
[dzieścia.

Źródłem tej samej spokojnej, w słodczy okągłości i soczystości owocu zawartej, uciechy jest „Agrest“:

Wiszą śliczne agresty w drobnej listeczków kryzie,
Chowają się od spodu gdzieś w pogoni za cieniem,
W rękę są, jak paciorki — a gdy się je rozgryzie,
Rozlewają się w ustach słodkim, lepkiem strumieniem.

W tym samym zakresie wrażeń wpuszczonego do ogrodu szczęśliwego dziecka mieszczą się „Wiśnie“. Odbiegają, jednak, daleko od poprzednich nowym, ciekawym, zupełnie swoistym deseniem rytmicznym:

Wiśnie są koralowe.
Potrząśnij, potrząśnij drzewkiem, niechaj nam
[spadną na głowę.
Wiśnie są przezroczyste.
Zobacz, zobacz! Mają w środku serca ogniste.

Rozradowanie to przechodzi wkońcu w lotny rytm wesołego nawoływania. Do wypowiedzenia uczuć nie wystarcza już ton spokojnej, epickiej relacji — muszą być wydzwonione srebrzyście i głośno. To też „Gruszki“ są nietyle nawet wierszem, co rymowaną dziecinną piosenką, zdającą się prosić o podkład melodji:

Gruszkil Gruszkil
Osy biorą je za poduszki,
Na gruszkach siadają
Cicho bzykają,
Wcale nie śpią, niecnoty,
[tylko sok wypijają.

Zbliżone tonem do poprzednich są „śliwki“. Niema w nich jednak ani śladu beztroski, lub wniesienia jakiegokolwiek innego elementu do pochłaniającego całą istotę zachwyty.

Odsunięcie się od spraw życia dominuje nad wszystkim. Mamy tu doczynienia z kompletnem zanurzeniem w głąb zjawiska, co sprawia, że wszystkie władze duszy wyteżone są w chłonięciu radosnego widoku.

Wyniesienie za nawias wszystkich innych elementów, nie stawia nas jednak, wobec skrawka epickiej twórczości. Stoi temu na przeszkodzie modlitewny, nabożny ton, jakim mówi się o tych śliwkach. Wiersz cały sprawia wrażenie jakiejś pieśni pochwalnej, hymnu na cześć jednego z najpotężniejszych w przyrodzie, obok narodzin, cudu dojrzewania.

Wyraz tego rozmodlenia jest bardzo plastyczny

Oczy cicho pływające w zieleni,
Krople złota w zachwycie zakrzepłe
Piję z was — tysiączne wargi ciepłe,
Całą słodczy pijanej jesieni.

Od całej tej pierwszej grupy, ściśle zamkniętej, jeśli nie w obrębie dziecinnych, to w każdym razie—pogodnych przeżyć, odchodzi dziwnie daleko swoim zagadkowym, zgębnym nastrojem wiersz „Truskawki”. Zgasła w nim naraz wszystka niefrasobliwość, odpłynęło gdzieś poczucie żywotności, nasunęła się nisko chmura bezwładu.

Rytm nagle zwolnił — wiersze się rozciągnęły na długość — niema już w nich ani cienia sprężystości żywości:

Może i byłoby dobrze, gdyby nie było nijako,
i tak się nie zazdrościło muchom, motylom i ptakom.
Staw jest nieduży i mętny i cały trzciną zarosły,
łódkaby płynąć nie mogła, złamałyby się wiosła.

Wiatr się, jak ja, bezmyślnie po równych zagonach
[szweda,
jest jedna tylko pociecha—truskawek szeroka grzęda.

Następuje dalej okrzyk, który mógł być wyrwany tylko z bardzo zmęczonej duszy:

O Boże! ileż jest szczęścia w jednej czerwonej tru-
[skawce!

Język z radością rozginiata pachnące, soczyste mięso.
Wiatr się po rękach, po szyi ciepło, przyjaźnie wałęsa,
i — z oczu nagle się robi wąski, niebieski skrawek,
och! ciało twoje jest słodsze od dużych, czerwonych
[truskawek.

Do samego końca prawie trwaliśmy w tej niewyraźnej, stłumionej atmosferze. Dopiero ostatni wiersz rzucił na całą sprawę promień ostrego, białego światła. Transformacja jest niespodziewana i gwałtowna. Przy głębszym wnikięciu, jednak, będziemy ją uważali za naturalny wynik atmosfery tego cyklu. Wiersze pod wpływem słonecznego żaru nabrzmiały nową soczystością, zaokrągliły się w jakiś kształt doskonale kobiecy.

Zaczęło się najściślej, jakie tylko można pomyśleć, współzycie z przyrodą—chłonięcie jej już nie wzrokiem, ale każdym skrawkiem rozgrzanej skóry.

Jak zawsze, tak i teraz w tej twórczości jednym z najsilniejszych współczynników zmysłowych jest słońce.

Darzy ono nie tylko ciepłem i światłem, ale zawsze jeszcze pieśczętą. Drugim źródłem rozszerzającej się w nieskończoność amplitudy upojen, jest wiatr. Niepodobna go wyłączyć np., z przesłicznej, kolorowej wizji lata w „Morelach”:

Morele z jednej strony mają ciemny rumieniec,
Weźmiemy się za ręce, jak białych astrów wieniec,
Może to nie morele, a złote, bajkowe kule?
Wiatr nam przez białe hafty zagląda za koszule.

Oprócz jednakże podmuchu i żaru jest w plastyczności opisu samych owoców coś, co sprawia, że nie tylko chłoniemy je wzrokiem, nie tylko wyczuwamy dotykiem, ale także odróżniamy ich smak. Oprócz, bowiem, kształtu barwy i zapachu, mają jeszcze słodczy, soczystość i lepkość. Jakby w myśl jakiejś milczącej umowy, nabrały one miękkości, sprężystości i ciepła ludzkiej skóry, jej udzielając nawzajem swojego zapachu i barwy.

Najwymowniejszym przykładem tego, już nie tylko zgubienia się w zieloności, zapamiętania w zachwycie, ale, poprostu, wcielenia się w owoc — będą „Maliny”:

Maliny, maliny
lepkie, pachnące.
Jedyny, jedyny
masz usta gorące.

Maliny, maliny
much złotych roje.
Jedyny, jedyny
zgubmy się oboje

— w ciemnych listkach, jaśniejszych od spodu,
— w ciepłej fali zielonego ogrodu,
— w malinach, śmiejących się różowymi ustami,
— w naszych ustach, pachnących malinami.

W wierszu tym mamy doskonale utrzymany gorący, stopniowo narastający ton zgranego duetu. Pomyśl bardzo szczęśliwy. Paralela dwugłosu utrzymana jest aż do chwili zamknięcia w linję koła elementów podwójnej akcji: zbierania malin i fizycznego zbliżenia. Efekt tej artystycznej pointe'y jest istotnie niezwykły.

Ale najwyższy stopień erotycznego napięcia mamy w „Brzoskwiniach”:

Okrągła, duża, pachnąca, wygląda, jak zapłoniona,
jest pewno miła w dotknięciu, jak moje nagie ramiona.
Bierzesz ją lekko w palce, przymrużasz trochę oczy,
rozrywasz ją ostrożnie, sok ci po palcach broczy.
Wyjmujesz serce—pestkę (sok w niej upojny chlusta).
różowe, słodkie mięso wkładasz w najdroższe usta.
Nagle pochylasz ku mnie młode, wysmukłe ciało,
i pytasz bardzo serdecznie: „Mój Boże, co pani się
[stało?”

Nie umiem odpowiedzieć, a łzy mi płyną, płyną.
Chciałabym... Tak! Właśnie bym chciała być tą różo-
wą brzoskwinią!

Jest to comble kobiecości. W liryce współczesnej mało możemy spotkać podobnie silnych pociągnięć smyczka po nerwach słuchacza.

d. c. n.



B. Z A N

DO SIOSTRY

Byłam niegdyś radosnym, powietrznym Arjelem,
Wykołysanym w gąszczu lip, na drzew wierzchołkach.
Ty byłaś moją siostrą, modlitwą, weselem,
Najbliższą wieszczką, całą w bławatkach i smółkach,
Odnalezioną w borach litewskich po burzy —
Której Arjel czarami i zaklęciem służy.

Miałaś płochą ciekawość leśnej kasztelanki,
Byłaś gorzkim dziecięciem — on, był cały z pianki,
Chciałaś tknąć, czy ze słońca ta postać utkana —
Zamknął się za dotknięciem w skorupie kasztana,
Żadna się go pieszczota, ni fortel nie bierze,
Stał się ostry, kolący i szorstki, jak jeże.

A potem robił czary — śmigał z jednej skrytki
W drugą, troił się w oczach, — i straszyło w lesie.
Raz przemienił się w dziką, chrząkał, rył przyciesie...
Wskazywałaś paluszkami: „Jaki czarny, brzydki!”
„Nie chcę patrzeć!” (Tupnęłaś...) „Takie ostre kielce!”
Arjel tańczył, jak pustak, i był dumny wielce.

Dla duchów napowietrznych, nie tak jak dla ludzi —
Świat jest tylko zabawką, sceną ich teatru,
Trzpiot zgrał się w pantominie, wyglądał wciąż chudziej...
Ty byłaś moją siostrą, więc też byłaś z wiatru,
Raz chciał rzucić się w przepaść — to na żart zakrawa —
Lecz go z bezdni na włosach wyniosła sikława.

Raz leżał, jak mgły płachta, na szynach pociągu,
A ziemia drżała pod nim, niby przed wybuchem —
Lecz Arjela z szyn srebrnych zniosło od przeciagu,
Bo był na to za lekki, by umrzeć — był puchem.
Ty poszłaś w świat — nie dbałaś już o losy ostu...
A Arjel buchnął ogniem — oszalał poprostu.

Zwichrzony, w wir pożarny rzucił się, jak fryga,
Krążył jak cyklon, wił się koło własnej osi —
Zmartwychwstawał, jak widmo, co się z piasków dźwiga
I znów upada na twarz, i o pacierz prosi,
Grał — rwał na strzępy własną pieśń, i rzucał w eter —
Patrzyłaś z wzdargą, w kłosach żniw, jakby Demeter.

Aż kiedyś wystateczniał — wśród wiecznej tułaczki,
Pokochał matkę ziemię, znalazł kwiat paproci,
I małe świętojańskie, pod skałą, robaczki...
Odchuchał je — rozbłysły jak skarb, co się złoci,
I poznał dłoń wieczności, niezbadane cele —
To iskry gwiazd — z nich także wykwitną Arjele.

Patrzyłaś na te wietrzne, lekkomyślne sprawy
Już z zimną zawziętością: „Cudak - Cagliostro,
Szarlatan!..” lecz też psotna, — bo byłaś mu siostrą —
Trąciłaś jego rękę, by popsuć zabawki.
— Bór jęknął, w krąg zabrząkły gęśla-samograjki...
Lecz dość na tem! Odgadnij dalszą treść tej bajki...



HERMINJA NAGLEROWA (J-A STYCZ)

4

MOTYW KSIĘŻYCA

Nowela

Czasem bywały ranki wczesne po to, by gniada klaczka niosła Hipolita za las, drogą do miasteczka. Sosnowy las był cały przesiany plamkami słońca. A kopyta klaczy trzaskały w piasku, jak piłki na tenisowym korcie. Miasteczko otwierało swoje usługne chęci i było pełne dobrotliwych uśmiechów. Na rynku wiał zapach świeżo upieczonego żytniego chleba. W za-jeździe dudniły deski, bijąc echem w sklepienie sieni. Z szynkwasu buchał zaduch źle czyszczonej okowity. W drodze powrotnej słońce paliło już w plecy, a szare muchy, jak małe bryzgi błota, oblepiały lśniący kark klaczki. Hipolit biedził się bezskutecznie, chcąc od-pędzić końcem trzciny krwiciwe stworzenia. Po-wracały natarczywie. Daremnie kłął uparte bestje. Las pachniał żywicą, a gałęzie sosn skwierczały, chwiejąc się leniwie, nasennie. Czasem przez omyłkę, a może przez złośliwość, muchy cięły Hipolita w rękę. Wtedy ruszał galopem. Wpadał jakby w wąwóz wiatru.

Gdy noc była jasna, wsiadał Hipolit do łódki i płynął po stawie. Wiosła szły powoli, fala rysowała się cienkimi żeberkami. Plusk wody dzwięczał, jak srebrne monety.

— Można marzyć, a nie trzeba myśleć. Można marzyć o wszystkim i niczem.

Park straszył ciemnością, niebo było zielono-niebieskie, gwiazdy blade, dalekie i coraz dalsze. Księżyc śpieszył się właśnie i nie miał czasu na roz-mowę. Biała wierzba na brzegu puszyła się, jak jabłoń, obsypana kwieciami.

Hipolit gwizdał jakąś melodyjkę. Jej kabaretowa rytmika, przybłąkana tu z dalekiego świata, pchała naprzód chwilę. Wciskała się w czas i w przestrzeń.

— Jeszcze jeden refren, a będę pod mostkiem.

Cicho tam było i mroczno. Dwa uderzenia wio-słem, a już mijało się mostek. Staw, który był ślepą odnogą rzeczki, łączył się z nią wąską szyją, opiętą właśnie owym mostem, jak naszyjnikiem. Na rzeczce wibrował chłód żywej wody. Łozy na brzegu były ażurowe, jak brabantka koronka. Księżyc dobijał już do czarnego pasma lasu i sam pociemniał, jak stare złoto. Nie był jeszcze w pełni i miał jeden policzek spuchnięty.

Hipolit ujrzał Andrzeja, wrośniętego w brzeg. Stał tam wysoki i sztywny. Guziki liberji błyszcząły w świetle księżyca, niby rząd robaczek świętojań-skich. Jasna głowa, jak bliźniaczy krąg księżyca, świe-ciła na szczycie.

— Czy po mnie?

Głos Hipolita poszedł krzykliwie w noc.

— Pani z Adamówki przyjechała.

— Wsiądź w łód'cę, powiosłujesz.

Przybił do brzegu i chłopak wskoczył lekko, jak kot.

— Jakby ważył kilka funtów — pomyślał Hipolit z odrazą.

Płynęli szybko, mając księżyc za sobą. I wtedy stwierdził Hipolit niemal rzeczowo i niemal z ulgą:

— Tak, budowa głowy i karku jest ta sama. Mocne plecy rysują się trójkątnie. Nawet poprzez surdut widać, jak skrzydła łopatek układają się w łuk wypukły, w łuk wklęsły.

IV

Któż to śmie powiedzieć, że romantyczność za-nikła? Niema jej tylko na codzień. Jest dziś bardziej skąpa w słowach i trochę wstydliva. I słusznie. Bo była już taka chwila, kiedy odświętna romantyczność stawiała się powszednia, a co gorzej, zbyt wygadana.

Właśnie Hipolit i Marja odnaleźli tego wieczora ten umiarkowany ton, tę cicho szeleszczącą, a jednak metalicznie dzwieczną nutę romantyczną. W salonie mahoniowe empiry uśmiechały się przejrzystą głębią fladrów żółtych, jak miód. Spłwiałały deseny zielonego obicia splatały się w wianuszki radosne. Duet głosów był zestrojony i harmonijny. Nawet słowo: Kocham, tylekroć już wymawiane przez tę parę ust, pobrmie-wało stylowo i pięknie. Długie cienie ramion wlokły się po perłowo-jedwabistym obiciu ścian, a lustra łączyły głowy w blasku żyrandola.

I wtedy wszedł Andrzej. Na srebrnej tacy za grały filizanki dygocącą melodyjkę. Andrzej zatrzymał się na progu. Na moment tylko. Poczem podszedł sztywno i ustawił nakrycie na stole.

Marja przemówiła trochę za głośno.

— Jakże ci tu, Andrzeju? Pan zadowolony?

Andrzej rozumiał dobrze, że na takie pytanie nie trzeba odpowiedzieć. Można conajwyżej spojrzeć w twarz pytającej. Ale i tego nie uczynił odrazu. Do-piero w chwilę później odchyliły się szklane powieki. I wtedy Marja zarumieniła się.

Hipolit podjął ten rumieniec, jak przedmiot, któ-ry można wziąć w ręce i obejrzeć zbliska, dokładnie. I dlatego, gdy Andrzej wyszedł z pokoju, gdy cukier zaskwierczał w herbacie, a usta, zdawało się, zanie-mowały już na wieki — Hipolit odszukał spłoszone oczy Marji, przytrzymał je na krótką chwilę i na aga-towych źrenicach raz jeszcze powtórzył swoją myśl. Poczem wypowiedział ją głośno, akcentując słowa po-bieżnie:

— Czyżby się kochał w tobie?

Zaśmiała się w stronę sufitu, a jej gładko przyczesane włosy zaśniły w świetle lampy, jak atlas. I, oczywiście, więcej o tem nie mówiono. Bo była to, jednocześnie, sprawa ważna i błaha. Należało więc ją raczej odrazu przekreślić, choć oboje nie wątpili, że nie zda się to na nic. Istniała przecież i tak, chociaż poza nimi, bo na innej płaszczyźnie. Wisiała jakby w powietrzu, drażniąca i obca.

Hipolit otrząsał się, jak po muśnięciu chropawej łapy. Łykami herbaty spłókiwał wzburzenie. Nad brwiami drgało zażenowanie, jak skrzydło natrętnej muchy.

— Miałam list od Żerмены.

— Cóż pisze?

Gdy zapytał, na nieco drżących wargach trzepotały się jeszcze przemocą tłumione słowa.

Przyjaźń Marji i Żerмены ominęła już szczęśliwie rafę współzawodnictwa i cierpkiej zazdrości. Kiedyś padł cień Hipolita na owe przyjacielskie związki. Dziś wiedziała Marja, że wszystko skończyło się już dawno i bezpowrotnie. O Żerмені można teraz było mówić gładko i potoczyscie. Odległość spraw dawała bezpieczną rękomię.

— Ach, Żerмена — powiedział łaskawie Hipolit; głos miał nieco zadyszany.

Ale Marja była zbyt pewna siebie. Wiedziała, że jej droga nie szła już na spotkanie nowych konfliktów z Żerменą. I śmiała się z leciutką przekorą, mówiąc o liście przyjaciółki.

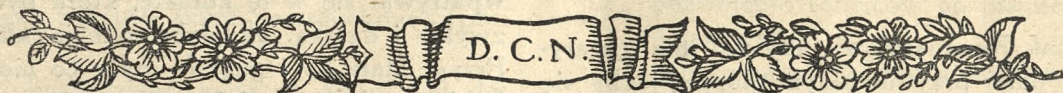
Gdy Andrzej oznajmił, że powóz już zajechał, Marja została jeszcze chwilę, by powiedzieć Hipoli-

towi, że ta godzinka w Zalesiu była przecież wielkiem i cudownem szczęściem. Trzeba było uwierzyć jej oczom, rozświetlajacym, jak lampy, ubóstwo sztucznych słów. Trzeba było uwierzyć ustom, pieszczącym słowo: szczęście. Ale Hipolit przesunął się po tem tylko bladą wstążeczką miłego uśmiechu.

Hipolit odprowadził Marję do powozu. Zamieć gwiazd na granatowem niebie przejęła go lękiem. Konie, płosząc się, rwały się do biegu. Wydłużone prostokąty światła wyścielały się zpod okien domu, przecinając dowolnie drogę, klomby i krzewy gazonu. Z latarni powozu wytryskały jaskrawe pasma żółtych promieni i kładły się szeroko na czerń nocy. Marja w cieniu, z uśmiechem, którego nikt nie dostrzegł, podała Hipolitowi rękę. Drgnęła, poczuwszy dotknięcie jego zimnych ust. Równocześnie ucałował jej lewą rękę Andrzej.

Konie szarpnęły i pobiegły w noc. Zostali obaj: Hipolit i Andrzej. Dzieliły ich na drodze dojazdowej świeżo żłobione ślady kół.

Jeszcze tego wieczoru Hipolit rozmawiał z Andrzejem w sypialni. Był to zagmatwany dyskurs o prze różnych sprawach. Trochę o służbie w marynarce, trochę o przeciekającej łódce. Jak po pochyłej desce zesuwały się tematy. Czyszczenie obuwia białym kremem pomieszało się zdociękaniami natury niemal osobistej. Usta ledwie się otwierały, aby przepuścić słowa obojętne, pańskie, cedzące się płasko. Bo gdzieś głębiej, u ich początku, szumiał pogardliwy śmiech. On to właśnie czekał złośliwie na porażkę Andrzeja, na ujawnienie się niższości, na tępotę myślenia, na wyraz nieodpowiedni. On bezlitośnie wyznaczał odległy dystans i pchał Andrzeja poza wysoki próg.



J. CONRAD

9

PLANTATOR Z MALATY

Autoryzowany przekład Teresy Tatariewiczowej

Zdenerwowany upałem, czy też dając upust swej irytacji, profesor uniósł się szczerością.

— W dzieciństwie był to wesoły głuptasek. Wyrósł z niego młodzieniec o nieco ograniczonej inteligencji, której, podejrzywam, nigdy nie wysilał, aby coś zrozumieć. Córka moja znała go od dzieciństwa. Jestem człowiekiem bardzo zajętem, więc przyznaję, że zaręczyny ich były dla mnie prawdziwą niespodzianką. Chciałbym, aby pobudki, które doprowadziły ich do tego kroku, były bardziej naiwne, lecz pro-

stota nie była modną w tem kółku. Z punktu widzenia życiowego był on naiwnym dzieciakiem. Teraz wszyscy mnie zapewniają, że padł ofiarą swej szlachetnej ufności w uczciwość rodzaju ludzkiego, lecz to już jest tylko idealizowaniem smutnej rzeczywistości. Co do mnie, od samego początku wątpilem w jego nieuczciwość; niestety, moja mądra córka nie miała tych wątpliwości, i teraz przeżywamy reakcję. Nie, nato, aby być nieuczciwym, trzeba być zupełnie biednym, ale u niego był to objaw wyrafinowanego

sprytu. Skomplikowany głupiec! Przebudzenie jego było, jednak, okropne.

W taki oto sposób profesor Moorsom wyjawiał „młodemu przyjacielowi” swe uczucia względem zaginionego. Widocznem było, że pragnął, aby się nigdy nie odnalazł. Może tęsknił podczas tych bezprzykładowych upałów do chłodnych przestrzeni Oceanu Spokojnego, do swobodnych podmuchów wiatru morskiego, zamiatającego pokład, zastawiony leżakami na statku, zdążającym do wybrzeża Kalifornji. Renouard'owi filozof wydał się poprostu najobludniejszym z ojców; zdziwiło go to bardzo, lecz na tem nie kończyły się jeszcze jego odkrycia.

— Może już nie żyje — szepnął profesor.

— Czemu? Ludzie nie umierają tu wcześniej, niż w Europie. Gdyby się był ukrył, na przykład, we Włoszech, myśl ta nie przysłaby panu do głowy.

— Tak, ale jeśli upadł moralnie? To nie był silny charakter — ciągnął dalej zakłopotany profesor — Tu chodzi o przyszłość mej córki.

Renouard pomyślał, że miłość takiej kobiety może podnieść człowieka upadłego — umarłego wyrwać z grobu; myśl ta przejęła go wewnętrzną rozpaczą. Rozpacz i zdziwienie zamknęły mu usta. Wreszcie zdobył się na wspaniałomyślność:

— Och! nie należy przecież przypuszczać...

Profesor przerwał mu głosem smutniejszym jeszcze, niż poprzednio:

— Jak to dobrze być młodym! zresztą, jest pan człowiekiem czynu i wierzy pan w powodzenie. Lecz ja zbyt już długo patrzę na życie, aby nie obawiać się jego niespodzianek. Ach, starość! Oto stoję przed nią, pełen wątpliwości i wahania: *spe leutus, timidus futuri*.

Zrobił znak Renouard'owi, aby mu nie przerywał, i ciągnął dalej przytłumionym głosem, jakby się obawiał, że ich kto podsłucha, nawet na tym pustym tarasie.

— Najgorsze w tem wszystkim jest to, że nie wiem, czy ta sentymentalna pielgrzymka jest szczerą. Tak, podejrzewam rodzone moje dziecko. Wprawdzie, jest ona kobietą...

Renouard odczuł z przerażeniem pewien odcień żalu, jakgdyby profesor nie wybaczył swej córce, że to nie ona umarła zamiast syna. Moorsom zauważył zdumiony wzrok Renouard'a.

— Widzę, że pan nie rozumie. Tak, jest mądra, inteligentna, sympatyczna, — jednym słowem — urocza. Lecz pan nie wie, co to znaczy obracać się, oddychać, istnieć, nawet triumfować, wśród wiru i piany życia, wśród błyskotliwej i częściej pianej. Tam myśli, uczucia, opinie, wrażenia, czyny nawet są niczem więcej, jak poruszaniem się w próżni, byle się zabawić. — To coś, jakby rozpusta, podniecająca i męcząca, bez głębszego znaczenia i bezcelowa. Oto do jakiej sfery ludzi należała moja córka. Zapytuję siebie nieraz, czy w tym

wypadku posłuchała niezaspokojonego instynktu, szukającego swej drogi, czy też była to reakcja jej uczuć lub, poprostu, może pragnienie oszukania serca tą niebezpieczną zabawą w romantyczne przygody. Wszystko tu jest możliwe, z wyjątkiem szczerości, takiej, jaką zna tylko silna, walcząca ludzkość. Niema kobiety, któraby pozostała naturalną i prostą w tem kółku, gdzie kobiety rządzą. Ach! Ktoś nadchodzi!

Odsunął się o krok i, odwróciwszy głowę, dodał:

— Słowo daję, byłbym niesłychanie wdzięczny panu, gdyby pan oblał trochę zimną wodą... — a na widok trwożnego gestu Renouard'a dorzucił jeszcze: — Niech się pan nie boi, nie zagasi pan świętego ognia.

Renouard zaledwie mógł zdobyć się na słowo protestu:

— Zapewniam pana, że nie rozmawiałem nigdy z panną Moorsom o... o... tem. Ale jeśli pan, jej ojciec...

— Zazdroszczę panu naiwności, — westchnął profesor. — Ojciec jest osobą spowszedniałą, nudną, starą. Zresztą, jest zupełnie naturalną rzeczą, że moja córka nie ma do mnie zaufania. Należymy z moją córką do tego samego środowiska, pan zaś jest otoczony urokiem nieznanego, a złożył pan niejeden dowód, że jest człowiekiem silnym.

Poczem profesor z Renouard'em zbliżyli się do domowników, zgromadzonych przy herbacie dookoła stołu na drugim końcu tarasu; te trzy siwe głowy i wizja nieporównanie pięknej postaci kobiecej poruszyły serce Renouard'a przypomnieniem, że jest śmiertelny.

Uważał, aby nie usiąść obok panny Moorsom. Całe towarzystwo rozmawiało sennie. Niezauważony, wpatrywał się w tę kobietę, która była dlań tak niezwykłą i daleką, jak gdyby stulecia całe ich rozdzielały. Przygniatała go i gnębiła myśl, co mogłaby dać taka kobieta człowiekowi istotnie silnemu. Jaką wspaniałą walkę możnaby stoczyć z tą amazonką! co za szlachetny ciężar dla zwycięskich bark!

Przemiała staruszka, pani Dunster, nalewała herbatę, spoglądając od czasu do czasu z zainteresowaniem na pannę Moorsom. Stary Dunster zjadł surowy pomidor i popił go mlekiem (było to przyzwyczajenie z dawnych lat, gdy nie zajmował się jeszcze polityką, lecz, mieszkając na wsi, udowadniał, że można wyprodukować zboże na gruncie tak jałowym, że zniechęciłby nawet czarodzieja), pogładził brodę i swą wielką, pomarszczoną ręką dotknął kolana Renouard'a.

— Niech pan powróci tu jeszcze wieczorem i zje z nami spokojnie obiad.

Lubił tego młodego człowieka, pionjera tak, jak i on, i to nie w jednym kierunku. Pani Dunster dodała:

— Niech pan przyjdzie. Będziemy sami. Nie wiem nawet, czy Willie przyjdzie na obiad.

Renouard podziękował i opuścił taras, aby powrócić na swój żaglowiec. Nie przestąpił jeszcze pro-

gu salonu, gdy usłyszał, jak stary Dunster donośnym głosem przepowiadał:

— kiedyś obejmie tu kierujące stanowisko... Tak jak ja.

Reunard opuścił za sobą lekką portjerę, a głos profesora Moorsoma rzekł:

— Mówiono mi, że ktokolwiek miał z nim do czynienia, jest jego wrogiem.

— To nic nie znaczy. Zrobił to, co do niego należało. Tak, jak ja.

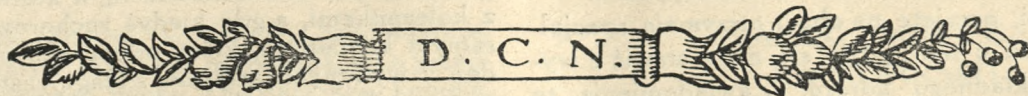
— Opowiadają, że nie liczy się z tem, ile kosztuje go to, do czego dąży; nie liczy się nawet z życiem ludzkim.

Renouard zrozumiał, że mówiono o nim. Nim zdołał odejść, pani Dunster rzekła spokojnie:

— Nie należy się przejmować temi bajkami, jakie opowiadają o nim. To zazdrośni tak plotą.—Wówczas usłyszał głos panny Moorsom, odpowiadającej jej:

— Niełatwo można mnie oszukać. Ja mam, że się tak wyrażę, instynktowne poczucie prawdy.

Z sercem pełnem trwogi uciekł z tego domu.



ŻEŃSKIE OBOZY LETNIE PRZYSPOSOBIENIA WOJSKOWEGO

W roku bieżącym Komitet Społeczny Przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju organizuje 3 letnie obozy żeńskie przysposobienia wojskowego (ogółem na 700 miejsc) dla:

1) nauczycielek, akademikzek, biuralistek, i in., które odpowiedzą warunkom wieku i cenzusu naukowego;

2) młodzieży szkolnej szkół średnich;

3) młodzieży szkolnej szkół powszechnych i pozaszkolnej.

Wszystkie obozy trwać będą od dn. 1. VII. do dn. 20. VIII. b. r., w tem kurs obowiązujący do 15. VIII., wycieczki nieobowiązujące od 16. VIII. do 20. VIII.

Dla kandydatek urzędniczek, które nie będą mogły uzyskać dłuższego urlopu nad 4 tygodnie, będzie przeprowadzony skrócony kurs I. st. og. z tem, że zobowiążą się one dopełnić go w okresie zimowym.

Warunki przyjęcia na obóz 1. są następujące:

1. Wiek 18 — 30 lat,
2. cenzus naukowy — 6 klas szkoły średniej, lub wykształcenie równorzędne,
3. świadectwo lekarskie, stwierdzające zupełną zdolność do ćwiczeń fizycznych i życia obozowego układu krążeniowego, oddechowego, wydzielniczego (białko), brak przepuklin i spraw zapalnych,—wydane przez lekarza szkolnego, wojskowego, powiatowego, lub miejskiego, (karta zdrowia, którą otrzymuje się wraz z deklaracją,

4. złożenie pisemnej deklaracji według ustanowionego wzoru o przyjęciu na siebie wymienionych tam zobowiązań (podania na obóz bez tej deklaracji rozpatrywane nie będą),

5. dla kandydatek na kurs st. II. f. świadectwo z ukończenia st. I. og.

Warunki przyjęcia na obóz 2 i 3:

1. Wiek od lat 16.
2. pozwolenie rodziców na piśmie.
- 3 i 4 jak wyżej.

Termin zgłoszeń na obozy do dnia 10. VI.

Przyjazd na obóz dn. 1 lipca 1927 r.

Zgłoszenia na obozy przyjmują:

Na teren D. O. K. I. — Sekcja Warszawska Komitetu — Bednarska 23 m. 46, tel. 204-28 w godzinach urzędowych i od 17 — 18-ej.

Na teren D. O. K. II. — Instruktorza Okręgowa Komitetu p. Nowosielska—Lublin, Krakowskie Przedmieście 49 m. 16 d.

Na teren D. O. K. III. — Instruktorza Okręgowa Komitetu p. Kudelska — Wilno, Portowa 6.

Na teren D. O. K. IV. — p. Szumlewska Janina—Łódź, Wodna 24.

Na teren D. O. K. V. — Instruktorza Okręgowa Komitetu p. Pawłowiczówna — Kraków.

Na teren D. O. K. VI. — Instruktorza Okręgowa Komitetu p. Podhorska — Lwów, Wronowskich 9.

Na teren D. O. K. VII. — p. Madurowicz — Poznań, ul. Strusia 8.

Na teren D. O. K. VIII. — p. Bykowska Jadwiga—Grudziądz, Toruńska 4, III piętro u p. Mielke.

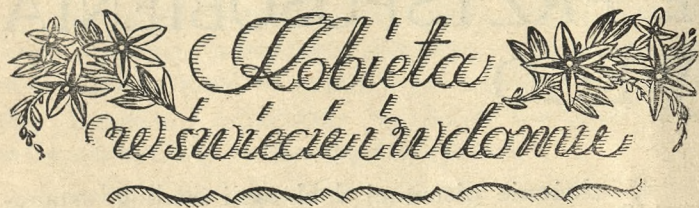
Na teren D. O. K. IX.—p. Chełkowska Seweryna, komendantka chorągwi żeńskiej Z. Ch. P. — Brześć, ul. Dąbrowskiego 31.

Na teren D. O. K. X. — p. Damaszkówna,—Przemysł, ul. Piotra Skargi 24.

Pozatem zgłaszać się można bezpośrednio do Zarządu Gł. Komitetu — Warszawa, Krakowskie Przedm. 99, piśmiennie lub osobiście w godzinach 11 — 15, oprócz sobót i świąt.

Wszelkie wpłaty skuteczniać należy na konto Komitetu w P.K.O. L. 12071, lub osobiście na ręce upoważnionych do przyjmowania deklaracji osób.

Kandydatki, przyjęte na obóz, otrzymają specjalne zawiadomienia o tem, gdzie się mają stawić z wymienieniem dokładnego adresu. Zawiadomienia te będą im służyły jednocześnie do otrzymania bezpłatnego biletu przejazdowego od wskazanych tam władz wojskowych.



NOWOCZESNA KRÓLEWNA

Zupełnie niepodobna do tradycyjnego typu, jaki przekazuje nam nietylko historia, ile legendy romantyczne i rycerskie.

Nie nosi powłóczyстых szat, ani trefionych włosów, nie spędza godzin przed gotownią, lub w komnatach zamkowych, w otoczeniu dam dworu i paziów, ani spogląda z pałacowych krużganków, czy nie ukaże się królewicz wysniony, lub jego posłowie.

Wysoka, zgrabna dziewczyna, o ściągłych rysach, białej cerze, o wesołych, pełnych inteligencji i dobroci, oczach, z jasnymi włosami, gładziutko zaczesanymi nad czołem i upiętymi w dwa warkocze. Pilna uczenica, zapalona sportsmenka, a obecnie poważna słuchaczka prastarego uniwersytetu w Leydzie — to ośmnastoletnia królowna Julianna holenderska, przyszła władczyni Holandji.

Już na parę lat przed ślubem jej matki, królowej Wilhelminy, zmieniono ustawę dynastyczną kraju w ten sposób, że—wrazie braku męskich następców—kobieta jest jedyną władczynią tronu, królem, właściwie, (tak, jak koronowano na „króla“ naszą królową Jadwigę). Gdy w r. 1919, po ośmiu latach małżeństwa królowej Wilhelminy z księciem małżonkiem Henrykiem, przyszła na świat córka, wychowywano ją od razu na przyszłą panującą, kształcąc i przyzwyczajając do poważnej pracy i zagadnień, czekających ją w przyszłości.

Obecnie, jak tego wymagają przepisy dworskie, królowna Julianna prowadzi już „własny dom“, mieszczący się w dwóch willach, wynajętych w Leydzie. Tryb życia jest tam bardzo prosty i skromny. Kró-

lowna chodzi na wykłady, otacza się chętnie koleżankami i odbywa z nimi dalekie wycieczki, niosąc, jak wszystkie dziewczęta, plecak i zajmując się, jak każda z harcerek, przygotowaniem posiłku i noclegu. To też zna cały kraj, jego ludność i wszystkie jej potrzeby i potrzeby, i ludność ta zna ją nawzajem. Jest też królowna Julianna pierwszą pomocnicą swej matki w całej jej działalności dobroczynnej i społecznej, zwiedzając z nią szpitale, przytułki i szkoły. Babka zaś i ojciec, wielki wielbiciel teatru, zaszczytliwi w niej umiłowanie sztuki. Królowna przepada za teatrem i posiada nawet poważne zdolności w tym kierunku. Na uroczystość srebrnego wesela rodziców napisała sztukę okolicznościową, w której wystąpiła wraz z koleżankami, a gdy kiedyś zachorował nagle, przed samym koncertem, który odbyć się miał u dworu, jeden z wybitnych artystów z Hagi, zastąpiła go, deklamując kilka poezji po holendersku i po francusku.

W dniu 30 kwietnia odbył się w stolicy obchód 18 rocznicy urodzin królowy Julianny. Uroczystość ta przybrała charakter manifestacji narodowej. Wszystkie szkoły, instytucje dobroczynne, oświatowe, społeczne, rozliczne stowarzyszenia, korporacje studenckie, związki zawodowe—wystąpiły z delegacjami, składając podarunki, adresy i życzenia. W prastarym zamku Binnenhof, siedzibie sejmu i rządu, wzniesionym jeszcze w XIII wieku, odbył się w sali rycerskiej wspaniały festyn w strojach historycznych, a wieczorem festyn wodny na jeziorze w parku zamkowym.

Królowna—pełnoletnia już według konstytucji,—wchodzi w życie dobrze przygotowana do roli pierwszej przedstawicielki narodu, który walczył zawsze z przemocą, a miłował wiedzę i wolność.

N. J.

KOBIETA W SŁUŻBIE POLICYJNEJ W NIEMCZECH

Od kilku miesięcy dopiero dopuszczono w Berlinie kobiety do służby policyjnej. Początkowo władze niebardzo zdawały sobie sprawę, jak to zrobić i jakie, właściwie, wyznaczyć kobietom zadania. Do służby śledczej przeciwko przestępcom nie chcieli ich dopuścić mężczyźni, przeciw służbie w policji obyczajowej protestowały stowarzyszenia kobiece, widząc w tem rodzaj walki kobiety przeciw kobiecie. Nie obeszło się bez licznych tarć i nieporozumień, bo i publiczność źle była do nowych funkcjonariuszek usposobiona. Wszystkie te scysje ułożyły się jednak bardzo szybko. Kobiety-policjantki objęły nadzór nad wszelkimi stosunkami kobiet i dzieci z władzą, policją i prawem. Nie tyle śledzą i tępią przestępstwa, ile starają się nie dopuścić do nich, opiekując się jednocześnie tymi, którzyby je mogli popełnić.

Akcja ta jest dopiero w zaczątku, ale można przewidzieć, że skryształizuje się i stworzy zczasem osobny dział—może jeden z najważniejszych w służbie bezpieczeństwa.

Policjantki roztaczają także specjalną opiekę nad młodzieżą, zwracając uwagę na to, aby dzieci i młodzież nie była w kinach, na sztukach, dla niej nieodpowiednich, aby nie używano dzieci do pracy w godzinach szkolnych i t. p.

Amatorek do tej nowej gałęzi pracy jest bardzo wiele—dostęp do niej jest jednak niełatwy. Od kandydatek wymagane jest ogólne średnie wykształcenie, zdanie egzaminu państwowego, poczem dopiero kan-

dydatka odbyć musi praktykę w wydziale śledczym i wszystkich kolejno inspektoratach i biurach policyjnych, aby poznać całokształt, organizacji policji. Wtedy po zdaniu ostatecznego egzaminu, zostaje dopuszczona do służby. Policjantki te nie noszą uniformów, tylko specjalne znaczkę, i używają oficjalnie tytułu „pani komisarz policji kryminalnej“.

GŁOS EKONOMISTKI AUSTRJACKIEJ NA MIĘDZYNARODOWEJ KONFERENCJI GOSPODARCZEJ W GENEWIE

Na międzynarodowej konferencji gospodarczej w Genewie, otwartej w d. 4 b. m. zasiada, jako przedstawicielka Narodowego Banku Austriackiego, kobieta, p. Emmy Freundlich.

W drugim dniu obrad p. Freundlich zabrała głos w imieniu delegacji austriackiej. Mówczyni zaznaczyła, że istnieją dwie drogi reorganizacji życia gospodarczego w Europie, zniszczonego wojną: droga despotyzmu i droga demokracji. W interesie konsumentów gospodarczych leży ta ostatnia. Jeżeli powstaną wielkie, międzynarodowe związki przemysłowe, nie uwzględniające korzyści konsumentów—będzie to tylko nowa forma despotyzmu, pozbawiona jedynie dawnej podstawy narodowościowej, a więc, tem gorsza, dla państwa, bowiem, jakkolwiek byłaby zorganizowana, — broni, bądź co bądź, interesów swych obywateli.

P. Freundlich, doskonała znawczyni spraw włóściańskich, podkreśliła w swem przemówieniu konieczność racjonalnego zorganizowania bezpośredniego handlu pomiędzy włóścianami a spożywczymi.

Sprawa zorganizowania takich wiejsko-miejskich kooperatyw jest dla Polski, kraju wybitnie rolniczego, b. ważną — powrócimy jeszcze do niej na tem miejscu.

N. J.

JESZCZE JEDNO NIEBEZPIECZEŃSTWO DLA RODU KOBIECEGO...

Będzie niem, jak to dowodzi pewien uczony angielski, porost wąsów i bród u kobiet, spowodowany modą krótkich włosów.

Dr. Joscelyne, redaktor gazety: „British-Medical-Journal“ dowodzi na łamach swego pisma, że wnuczki, albo prawnuczki obecnego pokolenia krótkowłosych dam, odpokutują terazniejszą modę: będą, bowiem, brodate i wąsate.

Uczony angielski opiera swe przypuszczenia na obserwacjach, poczynionych na wyspie Jawie.

W niektórych osadach tej wyspy mężczyźni noszą długie włosy i plotą je w warkoczyki: mężczyźni ci nie posiadają zupełnie zarostu na twarzy. Natomiast płeć piękna na wyspie obcina sobie włosy wedle obowiązujących zwyczajów: na starość każda prawie jawajka posiada wspaniałe wąsy i brode...

NAJWYŻSZY ZAROBEK KOBIECY

W Ameryce niema tygodnia, aby nie odbywała się jakaś ciekawa statystyka. Ostatnio, w Nowym Jorku została rozesłana ankieta na temat: która kobieta na świecie zarabia najwięcej?

Ankieta dowiodła, że największą płacę pobiera niejaka Mrs. Blanche Grean z Nowego Jorku. Przed kilku laty pani Grean, matka kilkorga dzieci i żona inwalidy wojennego, została bez środków do życia, nie mając więc wyboru, przyjęła posadę skromnej komiwojażerki pewnej wielkiej fabryki gorsetów. Była tak uprzejmą w obejściu, tak miłą i elokwentną, że po roku sprzedała największą ilość gorsetów, odkąd fabryka egzystuje. Została zaangażowana na posadę naczelniczki działu sprzedaży i dziś... pobiera pensję 75.000 dolarów rocznie, mając przeszło 3.500 ludzi zatrudnionych w swym dziale.

NASZA RODACZKA NA FILIPINACH

Jeden z korespondentów amerykańskiej gazety „Chicago Daily News“ na wyspach Filipińskich, odkrył w Manili jakąś niezwykle utalentowaną artystkę, gwiazdę baletu, którą jest nasza rodaczka. Nazywa się Lucja Walczykowska. Urodziła się w Manili. Ojciec jej Jan Walczykowski, amerykański polak, od szeregu lat służył w miejscowej policji — matka jest piękną malajką.

Panna Lucy posiada liczne rodzeństwo i jest wzorową córką. Od lat najmłodszych zdradzała niezwykle zdolności do tańca i muzyki. Rodzice chcieli ją kształcić narazie w jakimś praktycznym fachu, lecz dziewczyna ze łzami błagała ich o pozwolenie pobierania lekcji śpiewu i rytmiki. Dziś.. młodziutka Lucy Walczykowska jest jedyną podporą zubożałej nagle rodziny: ojciec jej, wskutek reorganizacji departamentu policji, stracił posadę.

Utalentowana nasza rodaczka występuje w najstarszym i najlepszym teatrze „Savoy“ w Manili, budząc powszechny zachwyt. Całe miasto ją zna, że-glarze i turyści przygodni obsypują uroczą polkę kwiatami.

Może, gdy będzie już wielką i sławną, zawita kiedy do Polski?

NOWE ŚWIĘTO NARODOWE WE FRANCJI

Francja nie zapomina swoich bohaterów, właśnie: przed paru dniami, w niedzielę, w stolicy nad Sekwaną obchodzono uroczyste święto narodowe ku czci Joanny D'Arc.

Wszystkie gmachy publiczne i wiele domów prywatnych ozdobiono chorągwiami, liczne tłumy publiczności sunęły ulicami Paryża w kierunku pomnika Joanny D'Arc.

Kardynał Dubois, arcybiskup Paryża, celebrował uroczystą mszę, po wysłuchaniu której ministrowie Painlevé i Sarraut złożyli wieńce od rządu u stóp statui.

Przed pomnikiem przedefilowały oddziały wojskowe: piechoty, artylerji, kawalerji. Podobne uroczystości odbyły się jednocześnie we wszystkich miastach prowincjonalnych.



Wycieczka Polonji Amerykańskiej w Łowiczu

REGATY KOBIECE W POLSCE

W tym roku, przy końcu wakacji odbędą się pierwsze międzynarodowe regaty kobiece w Polsce.

Terenem zawodów wioślarskich ma być Bydgoszcz, która posiada ku temu jaknajlepsze warunki.

W regatach wezmą udział: belgijki, francuzki, czeski, oraz przedstawicielki innych krajów.

Podczas regat największe zainteresowanie publiczności wzbudzi, zapewne, bieg na skuligach, oraz bieg czwórek o nagrodę marszałka Piłsudskiego, (mistrzostwo Polski).

W biegu tym przeciw francuzkom występować będzie Warszawski Klub Wioślarzy.

Regaty zapowiedziane są na pierwszą połowę sierpnia r. b.

KOBIETY-BOHATERKI SPOCZĘŁY NA CMENTARZU OBROŃCÓW LWOWA

Wzruszająca, pełna podniosłego nastroju, uroczystość żałobna odbyła się we Lwowie w dniu 9 maja r. b. na cmentarzu Obrońców Lwowa.

Na cmentarzu tym, w otoczeniu licznej delegacji władz, stowarzyszeń i organizacji ze sztandarami, po mszy w kaplicy Obrońców Lwowa, celebrowanej przez ks. arcybiskupa Teodorowicza i ks. infułata Zajchowskiego—spoczęły szczątki kobiet-bohaterki, które w pracy i poświęceniu dla sprawy narodowej nie znały granic. Trzy trumny metalowe: ś. p. Marji Dulębianki, niezmordowanej działaczki, która, gdy przyszły dla Polski dnie ciężkie, stanęła jako wódz, tworząc kadry bojowe niewieście we Lwowie. Dalej—trumna ś. p. Teodozji Dzieduszyckiej, błękitnej siostry-samarytanki, która w wielkich dniach listopadowych zorganizowała szpi-

tal na Technice lwowskiej, pełniąc w nim odpowiedzialne stanowisko naczelnego, oraz trumna bohaterki, ś. p. Heleny Tolłoczko—spoczęły w trzech, obok siebie leżących, kryptach.

Nieco dalej, w świeżo wykopanych grobach, złożone zostały szczątki dwóch innych ofiar bratobójczych walk, ś. p. Sulimirskiej i Skibniewskiej, kobiet-żołnierzy, które, wzięwszy w słabe, drobne ręce karabin, poszły w bój, składając z siebie daninę Ojczyźnie.

Po pełnym siły przemówieniu p. Kaczorowskiej, która skreśliła dzieje czynów kobiet-bohaterki, orkiestra wojskowa odegrała „Rotę” Konopnickiej.

Żałobna ta, lecz krzepiąca ducha, uroczystość została zakończona w podniosłym nastroju ducha.

PIERWSZA KOBIETA-PIEKARZ W POLSCE

W Hucie Królewskiej odbył się przy końcu kwietnia r. b. egzamin kandydatów na mistrzów piekarskich.

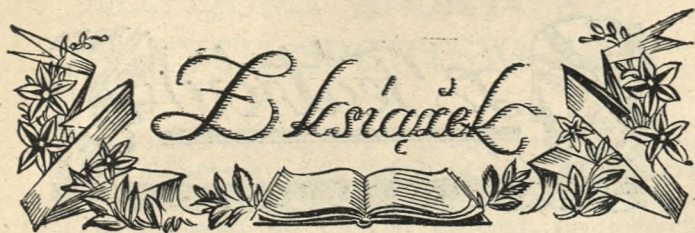
W komisji egzaminacyjnej zasiadali przedstawiciele Męskiej Izby Rękodzielniczej oraz piekarze zawodowi. Do egzaminu zgłosiła się, po raz pierwszy w Polsce—kobieta, pani Elżbieta Mitasowa z Szarleja.

Zdała chlubnie egzamin i została mianowana mistrzem sztuki piekarskiej.

H. S.



Fragment z manifestacyjnego pochodu na ulicach Warszawy pod hasłem: „Śmierć ciemności”



Wacław Sieroszewski. „Miłość Samuraja”—Powieść.
Warszawa 1926 r. Nakładem Tow. Wydawniczego „Rój”.

Tak się jakoś przedziwnie utarło, że literatura beletrystyczna zwykła patrzeć na Japonię, jak na kraj Wiecznej Bajki, dekoracyjnych widoków, kraj, który posiada ludzi jedynie poto, aby, występując w powieściach, objaśniali nas pokrótce o tradycjach, legendach i zwyczajach swej ojczyzny. Na bohaterów tego rodzaju powieści nie patrzy się bezpośrednio, poprzez możliwość własnych przeżyć, lecz widzi się w nich jedynie Japończyków, a perypetje powieściowe jakie im narzuca autor, są ich prywatną własnością.

Sieroszewski we wszystkich swych powieściach szukał przede wszystkim człowieka. Znajdował go smutnego i cierpiącego, i w pustynnych tajgach Sybiru, i na zielonych wodach Oceanów świata, wszędzie, gdzie dotarła jego myśl skrzydlata i kochająca serce.

I do tradycyjnego Japończyka, lali w barwnym kimono, podszedł ze strony jego człowieczeństwa, odrzucając precz wszelki balast zewnętrzności, aby pokazać nam przede wszystkim tętniące ludzkie serce.

Ludzie z tej powieści Sieroszewskiego są nam przedziwnie swoi i bliscy: wielkie poczucie honoru „soninów” wydaje się nam integralną częścią życia wogóle, a Czerwona Jaskółka z herbarciarni na Josziwarze—czystą i dobrą dziewczyną, tak dalece czystą i dobrą, że nie mamy jej nic nawet do przebaczenia. Wszystkie „dziwności” Japonii pokrywają wielkie miłosne smutki pięknego Gombacciego i słodkiej Komurazaki, i patrzymy na ich wysiłki tem współczującym spojrzeniem, jakiego nauczył nas sam autor. Łapiemy się nawet na takiej niekonsekwencji wobec poglądów etycznych Europy, że śmierć Gombacciego, którego ścięto za rozbój, odczuwamy, jak niesprawiedliwość. Przecież to miłość uczyniła go bandytą!

O stylu tej książki można to tylko powiedzieć, że jest to „par excellence” styl Sieroszewskiego. Wystarczy. Z. M.

Marino Moretti. „Wyspa miłości”—Powieść.

Autoryzowany przekład z włoskiego Franciszka Baturewicz, Polski Instytut Wydawniczy „Sfinks”. Warszawa — str. 373.

Marino Moretti jest jednym z tych pisarzy młodej generacji, którzy w ostatnich czasach zdobyli rynek księgarski zagranicą. Co przyczyniło się do tego, że Moretti jest obecnie tłumaczony na wszystkie niemal języki europejskie? Czem tłumaczyć jego powodzenie u czytelników? Czyżby to był ów, okrzyczany przez krytyków, pęd do literatury „pistoletowej”? Nie. W książkach Morettiego tkwi miłość człowieka do wszystkiego, co jest piękne, a zahukane, dobre, a lekkie, szlachetne, a skryte. I jeszcze jedno: — Marino Moretti pisze swoje książki z uśmiechem — uśmiechem nie poniżającym, ironicznym, pobłażliwym, złym — lecz uśmiechem starszego, doświadczonego brata, który patrzy na przepychanie, przedzieranie się młodszych siostr i braci poprzez dnie, wypadki i zdarzenia; patrzy, widzi, raduje się, cierpi razem z nimi i uśmiecha się: „Moi złoci, to przecie wszystko już było, wszystko przeminie i znów będzie ta sama ziemia, niebo—tylko ludzie inni i data na kartce kalendarza”.

Taką była jego powieść: „Dwie sieroty”, taką—„Moja matka”, taką jest także „Wyspa miłości”.

O tej ostatniej książce należałoby pomówić szerzej — kto wie — może trzeba byłoby inną w odpowiedzi książkę napisać.

To byłoby celowe i ważne. W szczupłe ramki notatki bibliograficznej niepodobna zamknąć wszystkich uwag i refleksyj, jakie nasuwają się przy czytaniu „Wyspy miłości”.

Należy z uznaniem powitać przyswojenie tego dziełka literaturze polskiej, tembardziej, że przekład p. Fr. Baturewicz pod każdym względem nie pozostawia nic do życzenia am.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Recital śpiewaczy *Ady Sari* — Wieczór *Orci-Wasilewskiej*.

Ada Sari ma nazwisko światowej sławy. Pierwszorzędna śpiewaczka koloraturowa, sopran, sięgający najwyższej nuty, o przepięknym brzmieniu we wszystkich rejestrach, wielkiej kulturze muzycznej, przejawiającej się w każdym programie, niezależnie od stylu—o niezrównanej w swej finezji i wykonaniu najdrobniejszych ozdóbników technice koloraturowej, mającej, rzecz jasna, największe pole do popisu w operze — kryje się w sali konserwatorium i w niewielkie jej ramy zaprasza żadnych najlepszych wrażeń muzycznych—słuchaczy. Rzecz nie do wiary, a jednak prawdziwa.

Dla występów *Ady Sari* niema miejsca w warszawskiej operze, ze względów, wiadomych może tylko dla wtajemniczonych, ale nieznanym i zupełnie niewytłumaczonym nazewną, jak wiele zresztą faktów, narzucających pytanie, dlaczego właśnie tak się dzieje, a nie inaczej.

W świecie muzycznym istnieje od pewnego czasu sporna kwestja: czy opera jest instytucją, mającą prawo do życia, czy też, przez wzgląd na minione czasy swojej ewolucji, należy, jako nieżywotna, do historii, utrzymując jeszcze swoje znaczenie sceniczne



Pani Orci-Wasilewska w kostjumie renesansowym

siłą dawnego rozmachu. Istotnie, współczesna opera nie idzie po linii popisów wokalnych, kładzie, raczej, największą wagę na barwę i bogactwo instrumentacji i, z wyjątkiem oper Pucciniego, daje śpiewakom niewielkie pole do popisu, traktując ich zależnie od warunków nowej muzyki, jej sceny i orkiestry. Przeciętnie życie każdej opery oblicza się na lat pięćdziesiąt (z wyjątkiem mozartowskich, które są nieśmiertelne); jeśli po upływie tego czasu opera utrzymuje się w repertuarze, wtedy świadectwem jej żywotności są jej wartości wokalne, żyjące zawsze w pięknym śpiewie, odradzające się każdym razem w nowych głosach, powołanych do utrzymania przy życiu zastarzałej techniki operowej eliksirem śpiewaczego talentu. Ograniczona liczba oper, powtarzających się stale w repertuarze każdego teatru, wywołuje istotnie znużenie, jeśli nie jest podniecana nieustannie siłą pięknie brzmiących i doskonale wyszkolonych głosów, które są niewyczerpaną i zawsze największą atrakcją muzyczną w ramach sceny operowej. Czemże, bowiem jest sopran koloraturowy bez opery? Czem głosy dramatyczne, nie ujęte w ramy sceniczne? Te warunki równoważą właśnie znaczenie opery i jej interpretacji i rozstrzygają kwestię istnienia opery na korzyść samej instytucji i życiodajnego jej śpiewu.

Dlatego każda placówka operowa, prowadzona z programem, dążącym do podniesienia jej znaczenia, rozumie doskonale wartość częstej i korzystnej zmiany obsady śpiewaczej. Natomiast obsada małej wartości, albo zmiana, obniżająca jeszcze przyjęty poziom, decyduje stanowczo o nudzie i nieżywotności instytucji, nie mającej w takich warunkach racji bytu. Niestety, fakt ten coraz dotkliwiej daje się odczuwać w operze warszawskiej. Występy gościnne ograniczają się w najlepszym razie do poprawnych produkcji, wprowadzonych gościnnie „sine certa causa”. Nie mam zamiaru wymieniać tu wszystkich, którzy w ostatnim sezonie śpiewali „koniecznie i gościnnie” przed pustkami i zimnem wiejącą widownią. Chodzi mi przede wszystkim o to, co świeżo tkwi w pamięci i wrażeniach publiczności—o śpiew Ady Sari. Artystka tej miary byłaby zapewne największą atrakcją sezonu operowego, gdyby jej, oczywiście... pozwolono śpiewać, Święta Konstancja „Z uprowadzenia z seraju”, nierównana „Lakme”, Rozyna, Gilda i Violetta—musi ograniczyć się do estrady koncertowej i tam rozwinąć tylko część swego kunsztu śpiewaczego. Ale triumfu Ady Sari nie umniejsza ignorowanie świetnej śpiewaczki przez dyrekcję operową. Jej przepiękny głos, niezwykła lekkość śpiewania, wytrzymałość i łatwość ogromna w operowaniu górnym rejestrem, jej cudowne tony fletowe i niewzruszona intonacja, którą śpiewaczka „bije” wprost słuchacza, wytrenowana z maestrją najwyższą technika koloraturowa, oto wartości śpiewu, które Adzie Sari zgottały niemiłkające oklaski i owacje licznie zebranej publiczności. Doskonałym dopełnieniem wieczoru był akompanjament prof. Ursteina, skrojony na miarę artystki i czuły, jak zawsze, na każdy gest śpiewacza. W programie były operowe arje włoskie (Puccini, Boito, Verdi, Donizetti, Rossini, Paisiello, Giordano), oraz polskie pieśni Niewiadomskiego, Friemana i Lipskiego.

Drugi raz w tym sezonie odbył się w konserwatorium wieczór pieśni Orci-Wasilewskiej. Wśród polskich pieśniarek mało jest znany rodzaj stylowej „disease’y”, wymagający nietyle głosu dla miniaturowej formy, ale doskonałej znajomości stylu odtwarzanych piosenek i wyrazu dla ich charakteru i treści. Yvette Guilbert, Josma Selim, Mella Mars ustaliły powodzenie stylowej piosenki, oraz jej dobrą tradycję. P. Orci-Wasilewska ma przede wszystkim przepiękne stroje, projektowane przez Norblina; a więc wspaniałe strój renesansowy, trochę już w szczegółach barokowy, zastosowany do schyłkowej epoki; suknię rokokową z malutkim, złotym kapeluszem „Lafayette”, jako tło do bergeretek francuskich, wreszcie, imponujący strój rosyjski i strój polski ludowy.

Obfity program wykonany był przez p. Wasilewską z dużym wdziękiem i widocznym u niej zamiłowaniem dla sztuki, oraz z dobrze podpatrzonym gestem i wyrazem, opartym o wykwinną i piękną prezencję. P. Orci-Wasilewska zawdzięcza swoje wokalne wyszkolenie, wytrawnej szkole p. Comte-Wilgockiej. P. L.



TEATR LETNI:

„Premjer” komedia w 3-ach aktach Laszlo Fodora, przekład Jana Adolfa Hertza.

Autor węgier doskonale zrobił francuską komedię. Tryska pianką szampańskiego humoru, pianką z tego tańszego, powojennego szampa, ale dusza bulwarów paryskich drga w tej komedii, tańczącej na śliskim, wypolerowanym jak szkło, Placu Zgody niebezpieczny taniec wśród nastawionych zewsząd mieczów pospolitej farsy.

Bo jednak p. Laszlo Fodor jest węgrem, wprawdzie uczniem Caillaveta i Flersa, uczniem bystrym i utalentowanym, ale krew go czasem ponosi i wówczas stwarza takie temperamentowe dziewczątka, jak bohaterka i żona „Premjera”, osiemnastoletnia Zuzanna d'Avencourt, której po tygodniowym narzeczeństwie bardzo pilno do alkowy małżeńskiej. Niestety, jak grom z jasnego nieba, na ukwiecone gniazdko nowożeńców spada wieść, która aureolą dumy i sławy powinna otoczyć rozkochane ich głowy, ale fatalnie wpływa na rozpoczęcie „prac Amora”. Młody małżonek zostaje premierem i to... na progu nocy poślubnej. Nic to, że trzeba samą jedną zostawić rozżaloną oblubienicę, gorzej, co zrobić z opracowaniem programu rządowego. I tu zakłopotanemu premierowi przychodzi z pomocą uroczą żoneczka. W klasztorze przecież nieraz marzyła o tem, coby zrobiła, gdyby była królową. Rządziłaby tak, żeby każdy jej poddany, bogaty czy biedny, mieszczanin czy wieśniak, miał w swym domu kominek i kochającą żonę, usypiającą w kołysce piękne i zdrowe dziecko Francji...

Marzenie dziewczęcia staje się punktem wyjścia programowej mowy premiera i wstępnym bojem zdobywa sobie uznanie ogółu.

Mniemana autorka projektu, królowa Małgorzata z Navarry, staje się bohaterką dnia. Jej imieniem nazywa się modne perfumy—wszystkie teatrzyki „Varietés” w Paryżu śpiewają piosenkę „o kominku i kołysce”. Ludzie się żenią na gwałt, urzędnicy i urzędniczki w ministerjach całują się i kochają, bo tak każe „program rządowy”. — tylko biedna małżonka premiera nie może się doczekać ani kominka, ani tembardziej—kołyski...

Napróżno pomysłowa i rezolutna kobietka kokietuje wodzą opozycji, chcąc wzbudzić zazdrość w mężu i doprowadzić do skandalu, któryby „obalił” obecny rząd i tem samem uwolnił premiera od obowiązków „męża stanu”, a dał mu możliwość gorliwego spełniania obowiązków zwyczajnego... męża. Program premiera dał tak solidne fundamenty rządowi, że o obaleniu go niema mowy.

Nareszcie, kiedy doprowadzona do ostateczności Zuzanna chce w rozpacz odjechać do rodziców,—jak bomba spada radośna wieść: gabinet obalono!

Młoda para będzie mogła nareszcie urzeczywistnić burżuazyjny program „kominka i kołyski”, program, który naprawdę mógłby mieć duże szanse powodzenia we Francji, gdzie i kominek, i kołyska z każdym dniem stają się coraz bardziej cennymi zabytkami przeszłości...

Sztukę grano we właściwym tempie i kolorycie. Przemiała, choć czasem nieco zbyt krzykliwa, małżonką premiera była p. Smosarska, Różycki w roli tytułowej umiał utrzymać się w ramach artystycznego umiaru. Zelwerowicz niepotrzebnie powtarza już i zbyt dobrze znane efekty. Tego znakomitego artystę stać przecież na to, żeby za każdym razem pokazać nam coś nowego ze skarbów swej sztuki. Reszta artystów starała się każdy według swych sił.

S. P. O.

KOSTJUMY SPORTOWE NASZYCH SPORTSWOMEN

Kwestja stroju odgrywa bezwątpienia dużą rolę w sporcie kobiecym i to z dwóch zasadniczych względów: z punktu widzenia estetyki i odpowiedności stroju w stosunku do danych ćwiczeń sportowych.

Zagadnienie piękna w sporcie kobiecym uznane dziś zostało za jeden z jego zasadniczych postulatów. W tym celu przywiązywana jest olbrzymia uwaga nie tylko do samego wyniku cyfrowego w poszczególnych konkurencjach sportowych, lecz również — i to w stopniu niemniejszym — do stylu, w jakim wykonane jest dane ćwiczenie. Dlatego też coraz silniejszą jest tendencja do stwarzania obok zawodów, obliczonych na efekt cyfrowy, absolutny, — niemniej ważnych kryteriów stylu, inaczej mówiąc — piękna wysiłku sportowego. Dlatego również stosuje się szereg ćwiczeń ogólnie wyrabiających fizycznie, celem wszechstronnego usprawnienia, celem nadania ruchom ćwiczącej niezbędnej swobody, lekkości i wdzięku.

Na wygląd ćwiczącej, na sylwetkę jej postaci, swobodę ruchów, — jednym słowem — na estetyczną stronę jej wysiłku sportowego — w dużym stopniu wpływa strój, który — ogólnie mówiąc — powinien być jaknajbardziej odpowiedni do uprawianego rodzaju sportu, a więc racjonalnie winien odpowiadać jego wymogom, a zarazem tworzyć całość miłą i ładną dla oka.

Kostjum sportowy do ćwiczeń dla pań w krótkim, bo zaledwie kilkanaście lat życia liczącym, okresie przeszedł bardzo ciekawą i, można powiedzieć, — burzliwą — ewolucję. Początkowo — to znaczy w pierwszych latach pojawienia się kobiety na boiskach sportowych — kostjum sportowy w pierwszej i niemal jedynej mierze odpowiadać musiał poglądom fałszywych purytanów, nie licząc się zgoła ani z wymogami zdrowotnymi, ani estetycznymi, ani też z potrzebami danego sportu. Śmiesznie dziś wyglądają dla nas sylwetki ówczesnych „sportswomen“, utrwalone na kliszach fotograficznych, ubrane w sposób wysoce nieestetyczny i zgoła urągający zarówno postulatowi zdrowia, jak wygody, jak, wreszcie, odpowiedności swej do danych



Lekkoatletki polskie w kostjumach sportowych

ćwiczeń sportowych. Naszkicujmy sobie zgruba zabawną sylwetkę naszej koleżanki z przed lat kilkunastu, a nawet z okresu późniejszego: szerokie, długie, nieraz za kolana sięgające, spodeńki, pończochy, bluzka z długimi rękawami. W stroju takim ćwiczące wyglądały niezdarnie, co więcej — strój ten, zakrywający szczelnie ciało, urągał wymogom higieny (w czasie ćwiczeń — skóra silnie transpiruje), a przede wszystkim, niejednokrotnie utrudniał wykonywanie szeregu ćwiczeń, np. skoku wzwyż, wiosłowania i t. d. Sylwetki tenisistek z przed lat kilkunastu budzą w nas zabawne wrażenie: suknia po kostki utrudniała bieg, kapelusik na głowie kręcił się i spadał, wywołując nierzadko śmiech widzów.

Oczywiście — i dziś — mówiąc o tem, jakim powinien być strój sportowy pań na boiskach, należy brać pod uwagę również i sprawę przyzwoitości, czy moralności stroju. Pod tym względem godną zalecenia rzeczą jest unikanie ryzykownej, bo mało estetycznej, przesady tak w jednym, jak w drugim kierunku... Spodeńki za krótkie, bluzki nazbyt obcisłe — będą w równym niemal stopniu zarazem i nieprzyzwoite, i nieestetyczne, nieestetyczne tak samo — jak spodeńki nazbyt długie, bluzki za szerokie.

W poszczególnych krajach strój sportowy pań przedstawia się niejednolicie, zarówno pod względem kroju, jak materiału, z którego robione są kostjумы. I tak np. w Anglii i Francji, jako materiał na kostjумы sportowe, przyjął się naogół trykot bawełniany. Majteczki naogół ciemne, dość obcisłe i koszulka trykotowa, zakrywająca majteczki poniżej kolan. Strój ten nie jest higieniczny (trykot bawełniany utrudnia transpirację skóry), nie zawsze też jest estetyczny, a, raczej, jedynie dla osób bardzo szczupłych względnie ładny. Koszulka nazbyt obcisnięta, lub nazbyt luźna (po rozciągnięciu się trykotu) nie wpływa dodatnio na wygląd sylwetki. Znacznie szczęśliwiej, zdaniem naszym, rozwiązana została sprawa kostjumu sportowego pań, przez wprowadzenie krótkiej do pasa bluzki z krótkimi rękawkami, przeważnie białej, oraz ciemnych — w tonach klubu — majteczek, przeważnie z satyny. Pończochy — zostały, oczywiście, zupełnie zarzucone: potrzeby ich nie są w stanie uzasadnić względy pseudo-moralności, a higiena i estetyka wypowiedziały się wręcz przeciwko temu zbędnemu szczegółowi ubrania.



Wiosłarki warszawskie w kostjumach na łodzi



Galowe mundury wioślarek warszawskich

Najbardziej kompletny strój sportowy w Polsce posiadają kobiece kluby wioślarskie. Od nich też zaczniemy, omawiając strój sportowy pań kolejno w następujących gałęziach sportu: wioślarstwie, lekkiej atletyce, pływaniu i tennisie.

Wioślarstwo. Strój w sporcie tym winien odpowiadać następującym wymogom: majteczki niezbyt szerokie i dość krótkie, w przeciwnym bowiem razie wkręcają się w szyny siodełka. Kolor bezwzględnie ciemny: na jasnych rażąco wyglądać będą plamy od smaru. Bluzka z bardzo krótkimi, lub bez rękawów, sięgająca tuż poniżej pasa, najwyżej do bioder. Ani bluzka, ani majteczki nie powinny uciskać w pasie. Pantofle bez obcasów, białe, krótkie skarpetki. Na głowie fez, lub przepaska, zabezpieczająca włosy od spadania na twarz.

Strój Warszawskiego Klubu Wioślarek: a) na łodzi: Granatowe majteczki. Biała bluzka bez rękawów, obszywana wkoło szyi i na ramionach granatowymi wypustkami. Białe skarpetki. Na bluzkach godło klubu—w kolorze granatowym. Na głowach—fez granatowy. b) Strój lądowy: granatowa spódniczka dowolnego kroju. Biała marynarska bluzka z wypustkami podwójnymi granatowymi na kołnierzu i rękawach. Granatowa kurtka z dwoma rzędami guzików, z wyłogami szafirowymi. Na głowie — beret granatowy. c) Strój galowy wnosi dwie zmiany do ubioru lądowego: beret marynarski biały z granatowymi wstążkami, oraz biała, dowolnego kroju, spódniczka.

Strój wioślarek kaliskich—na łodzi prawie identyczny z wyżej opisanym. Strój lądowy—jak wyżej—w kombinacji kolorów granatowego i amarantowego.

Sekcje wioślarskie pań przy męskich klubach stroju lądowego nie posiadają. Strój na łodzi ogólnie przyjęty: granatowe, lub czarne majteczki, biała bluzka z krótkimi rękawkami, z godłem danego klubu na piersiach.

Lekka-atletyka. Sport ten następcza większą możliwość kombinacji barw. Ogólnie przyjętym schematem stroju, z małymi wyjątkami, jest następujący: krótkie majteczki satynowe, bluzka do pasa z krótkimi rękawkami z satyny, lub batystu.

Przejrzymy pokrótce strój naszych lekko-atletek w kilku klubach.

Grażyna—szafirowe majteczki satynowe, krótkie i niezbyt szerokie, z białym paskiem wzdłuż zewnętrznej strony uda. Biała bluzka do pasa z szafirowym kołnierzykiem i krótkimi rękawkami. Godło klubu na piersiach. Białe skarpetki. Kombinacja barw bardzo szczęśliwa.

Akademicki Związek Sportowy—zielone majteczki satynowe z białym paskiem wzdłuż zewnętrznej strony uda. Białe bluzki z zielonymi kołnierzykami, rękawy krótkie. Godło klubu na piersiach. Białe skarpetki. Kombinacja barw również bardzo ładna.

Polonia. Czarne trykotowe majteczki i czarna, na majteczki obciągnięta, koszulka trykotowa z białym kołnierzykiem i mankietami. Godło klubu na piersiach. Względny estetyczny przemawiają na korzyść kostiumów nie trykotowych.

Cracovia. Czerwone majteczki satynowe, białe bluzki z czerwonymi kołnierzykami.

Ogólnie postawić można postulat następujący: majteczki nie za krótkie i nie za długie, nie za wąskie i nie za szerokie. Bluzka niezbyt obcisła. Skarpetki białe, wyłożone „wałeczkami“ na kostce. Przesłanka odnośnie ćwiczących pań: nosić strój sportowy tak, aby nie był on prowokującym. Nie ukazywać się w nim poza boiskiem, np. na trybunach wśród widzów.

Pływanie. Bezspornie najbardziej i estetycznym i odpowiednim jest zwykły trykotowy kostium jednolity. Najładniej wyglądają barwy ciemne, bez żadnych pasów. Polecać można kolory: czarny, granatowy i lila-fioletowy. Ten ostatni wszakże szybko płowieje. Kostium winien być doskonale dopasowany: nie może być niezbyt obcisły, ani też za luźny, zwisający. Ładnie wyglądają godła klubowe na piersiach. Na głowie—czepek gumowy, najlepiej zupełnie gładki i prosty w formie, przylegający do głowy, z paskiem pod brodę.

Tennis. Dość szeroka, lecz zarazem stosunkowo krótka, zawsze biała spódniczka. Najlepiej i najładniej—wełniana. Pończochy i pantofle koniecznie białe. Dobrze jest wkładać na pończochy, wełniane białe skarpetki, zwiżane w rulonik na kostce. Pantofle płóciennne, najlepiej na podeszwie gumowej, ewentualnie sznurkowej, lub z łosiowej skóry. Bluzka biała, z jaknajkrótszymi rękawkami, wypuszczana na spódniczkę. Ładnie wyglądają kolorowe jedwabne pull-overy. Jeśli chłodno, — biały wełniany sweater sportowy.

Bardzo ładnie wyglądają białe sukienki z pasami, zawsze dość szerokie u dołu, aby nie krępowały biegu. Na głowie—daszek na gumce (jak Helena Wills), lub kolorowa przepaska (jak Zuzanna Lenglen), przytrzymująca włosy. Za nic—nie wkładać kapeluszy.

Wogóle — sport tenisowy posiada uprzywilejowany swój kolor — mianowicie — biały. Dlatego też nazywają go „białym sportem“. Istotnie, kolor ten wygląda najładniej.

Na tym krótkim przeglądzie strojów sportowych kończymy artykuł dzisiejszy. Wypada jeszcze tylko apelować pod adresem naszych „sportswomen:“ pamiętajcie o starannym dopasowaniu waszych kostiumów sportowych i umiejcie nosić je w sposób estetyczny i elegancki.

M.



BRZYDKIE OWOCE

Znacie, Szanowne Czytelniczki, te jabłka i gruszki, sprzedawane tanio z koszyków na targach małościasteczkowych, lub z wózków na ulicach naszych stolic? Znacie te pokurczone, zniekształcone, pokryte czarnymi plamami, popękane owoce, spadające przedwcześnie na ziemię za byle podmuchem wiatru? Znacie to smutne rozczarowanie posiadaczek sadów, bujnie kwitnących i dobrze zawiązujących, które potem przynoszą tylko drobiazg szpetny, niesmaczny, kwaśny, pozbawiony wszelkiej wartości handlowej i spożywczej? Znacie te liście, przedwcześnie zasychające, te drzewa, wznoszące już we wrześniu nagie konary ku niebu, jakby o litość i opiekę błagały, te latorośle wątłe, o naskórku popękanym, pokrytym bąblami, niby ospą, albo powleczone warstwą czarnego nalotu, podobnego do sadzy?

Znamy, znamy!

Znacie? A więc posłuchajcie.

To „czarny grzybek“, czyli *Fusicladium*, zrzędza tyle szkody. Zarodniki tego grzybka zimują na opadających liściach, na poplamionych owocach, w czarnym nalocie, przylegającym do pędów, w ospowatych bliznach kory. Wiosną, gdy pierwsze promienie słońca przygrzeją, uśpione zarodniki kielkują, wydają nowe pokolenia zarodników letnich, które wiatr, woda, ptaki, owady, roznoszą i zarażają młode listki, wyłaniające się z osłonek pączków.

Pod wpływem ciepła i wilgoci zarodniki kielkują, grzybnia przenika w tkankę liści, wydaje nowe zarodniki, przenoszące się na inne liście i na owoce; siedlisko grzybka się rozszerza, tworząc plamkę coraz większą, okrągłą, we środku czarną, z obwódką jasną. Plamki często zlewają się ze sobą i przekształcają w duże plamy kształtu nieregularnego, a nieraz w całe płaszczyzny czarne, zmartwiałe. W miejscach porażonych tkanka bowiem zamiera.

Występowanie czarnego grzybka na liściach zmniejsza dotkliwie powierzchnię liścia, osłabia asymilację, czyli przemianę materji pod wpływem promieni słonecznych, a przez to osłabia odżywianie samego drzewa. W jesieni liście przedwcześnie opadają, wskutek czego pączki kwiatowe, a nawet pączki liściowe, nie mogą się należycie wykształcić.

Porażone latorośle zostają w słabszym, lub silniejszym stopniu powstrzymane we wzroście. Zdarza się, że zamierają, gdy są jeszcze zielone. Przy słabszym występowaniu porażenia rozwijają się tylko gorzej, kora się na nich łuszczy, a pod jesień pokrywa sadzowatym nalotem, stanowiącym pokład zarodników zimowych grzybka.

Najstraszniejsze, jednak, i najbardziej rzucające się w oczy szkody powstają w owocach. W miejscach porażonych owoce przestają się rozrastać, wskutek czego zniekształcają się, krzywią, a wmiarę zamierania tkanki, warstwy zwierzchnie pękają, tworząc głębokie rany, bruzdy i szramy. Zaraza przenosi się szybko z jednego owocu na drugi, z drzewa na drzewo. Odmiany (nie gatunki, jak przywykliśmy mówić, bo gatunkiem jest: jabłoń, grusza, śliwa i t. d. a każdy z tych gatunków ma liczne odmiany, jak Kosztela, Reneta Kulona, Łukasówka, Dobra Ludwika, Kirka i t. d.),—więc odmiany, odporne na czarny grzybek—słabiej podlegają porażeniu, natomiast na odmianach wrażliwych mogą ulec poplamieniu wszystkie owoce, a wtedy straty są olbrzymie.



Jabłko i gruszka, oraz liście, poplamione i zniekształcone pod wpływem czarnego grzybka (*Fusicladium*).

Jeśli jednak porażenie owoców jest tylko częściowe, to i tak urodzaj ulega wydatnemu zmniejszeniu. Jak zaznaczyliśmy wyżej, pod wpływem grzybka tkanka przestaje się rozrastać, a wskutek tego owoce karłowacieją i nie dochodzą do normalnej wielkości. Można by w przybliżeniu określić straty w ten sposób, że zbiór z drzewa chorego zmniejsza się o tyle procent, ile procent powierzchni owocu pokrywają plamy, wywołane przez grzybek. Ale do tego trzeba jeszcze doliczyć stratę na cenie, wskutek zeszpecenia owocu. Gdy więc przyjąć przeciętny plon z jabłoni i grusz na 50 kg, a przeciętną cenę owocu w hurcie na 30 gr. za kilo, to wartość plonu równałaby się 15 złotym. Łatwo teraz ustalić wysokość ponoszonych strat na owocach, opierając się na przytoczonym wyżej rachunku procentowym, przyczem w ogrodach handlowych wysokość ponoszonej straty należałoby podwoić.

A gdzie jeszcze straty, wynikające z osłabienia samego drzewa i ze stopniowego zmniejszania się jego płodności, wskutek złego wykształcania się tkanek drzewnej, przyrostu i zanikania pączków?

Przeciw tym stratom możemy i powinniśmy się chronić, a prowadzi do tego systematyczne, umiejętne wykonywane zraszanie preparatami miedziowymi.

(d c. n.)

Stan. Schönfeld.

UNIWERSYTECKA SZKOŁA PIELĘGNIAREK I HIGJENISTEK
W KRAKOWIE,

otwiera nowy kurs dn. 1 września b. r. Nauka trwa 2 lata; przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie: 6 klas gimnazjalnych, lub równorzędne.

Zgłoszenia: Dyrekcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higienistek.
Kraków Kopernika 23

ZDROJOWISKA, LETNISKA I KĄPIELISKA W WIELKOPOLSCE I NA POMORZU

Na pierwszy plan wśród miejscowości, odwiedzanych w sezonie letnim, wysuwają się bezsprzecznie kąpieliska, położone nad Bałtykiem.

Zajmują one pośrednie miejsce pomiędzy uzdrowiskami, a letniskami naszymi, łącząc w sobie wypoczynek, wraz z wieloma urozmaiconymi rozrywkami, i nie wymagając żadnych specjalnych starań, zabiegów, ani ograniczeń kurację klimatyczną.

Wybrzeże morskie obejmuje powiaty Wejherowski i Pucki w województwie Pomorskim

Przepuszczalność lekkiego piaszczystego gruntu, olbrzymie przestrzenie, pokryte wspaniałymi lasami iglastymi, zupełny brak kurzu, powiew od morza—przeistaczają całe nasze wybrzeże w rodzaj olbrzymiego rezerwuaru, napełnionego cudownym, najświeższym powietrzem. Z tej też przyczyny, szczególnie jeżeli podkreślimy zbawienne działanie kąpeli morskich i słonecznych, trudno podciągnąć miejscowości nadmorskie pod rubrykę letnisk wypoczynkowych jedynie, odmawiając im właściwości leczniczych.

Pobyt nad morzem jest wskazany w pierwszym rzędzie dla ludzi wyczerpanych i potrzebujących spokojnego odpoczynku, przytem obfitość lasów i przepuszczalność gruntu, o których już wspominałam, są to czynniki, które solidaryzują się z warunkami koniecznymi dla piersiowo chorych. Sól, jaką zawiera woda morska, działa dodatnio przy zaburzeniach w przemianie materji i cierpieniach gośćcowych.

Spokój, obfitość jak najlepszego powietrza i słońca, piękno, jakim tchnie połączenie morza i lasu, wpływają nader dodatnio na natury przedenerwowane. Ukojenie i równowaga wracają szybko, a za silony system nerwowy staje się odpornym i pracuje normalnie. Wiatry północne i powodowana niemi ostrość klimatu każą unikać naszego wybrzeża osobom bardzo wycieńczonym i wychudzonym, tym, którzy cierpią na nerki i gruźlikom w stanie zaawansowanym, czyli rozkładowym.

Ceny na wybrzeżu morskim są zmienne, zależnie od miejscowości lepiej, lub gorzej urządzonej, noszącej, lub nie, charakter licznie uczęszczanego kąpieliska. Do najdroższych należą: Gdynia, Orłowo i Hel, który, szczególnie dzisiaj, gdy Gdynia zaczyna przybierać coraz wyraźniej charakter miasta portowego, a ztraca tem samem cechy kąpieliska, wysuwa się na pierwszy plan wśród miejscowości nadmorskich, dzięki temu, że graniczy z pełnym morzem.

Komu wystarczają skromne warunki bytowania, ten może urządzić się stosunkowo bardzo niedrogo we wsiach rybackich, położonych na uboczu, a oddalonych niejednokrotnie o jeden do dwóch kilometrów od morza. Poczawszy od Zoppot, należy zanotować następujące miejscowości:

Orłowo. Położone o dwa kilometry od granicy Wolnego Miasta Gdańska. Stacja kolejowa w Małym Kacku, oddalona o 2 klm.. Na miejscu 2 hotele, liczne pensjonaty, pokoje w chatkach do wynajęcia. Wybrzeże pokryte wspaniałymi lasami, rozrzuconymi na pagórkach. Plaża kamienista.

Gdynia. Stacja kolejowa na miejscu. Plaża cudowna. Zakład kąpeli morskich ciepłych o 26

kabinach. Hotel „Polska Riviera“ urządzony komfortowo, pozatem liczne hotele, pensjonaty, pokoje do wynajęcia. Restauracje, kawiarnie, dancingi, muzyka. Gdynia należy do najbardziej ożywionych towarzysko miejscowości nadmorskich. Ceny w roku ubiegłym wahały się pomiędzy 8—12—20 złotymi.

Kamienna Góra. Graniczy z Gdynią. Oddalona od stacji Gdynia o 1,5 klm. Położona cudownie na zboczach wyniosłego wzgórza, 62 m. nad poziomem morza. Liczne nowoczesne wille, dworki, w nich pensjonaty. Hotel. Ceny od 8 do 12, 15 złotych dziennie.

Orłowo, Gdynia i Kamienna Góra mają połączenie parowcami z Helem, Zoppotami i Gdańskiem.

Oksywie. Wieś rybacka, położona o 4 klm. od Gdyni, ma komunikację autobusową z Gdynią. Przejazd kosztuje 75 gr. Położona o 1/2 kilometra od morza, cicha wieś rybacka, jest miłym i dużo tańszym letniskiem, niż Gdynia i Kamienna Góra. Pensjonat i około 200 izb u rybaków.

Puck. Miasto powiatowe, położone nad morzem. Niewielka plaża. Hotele, wille, „Dom Kuracyjny“. Stacja kolejowa na miejscu.

Wielka Wieś. Wieś położona na początku półwyspu Helskiego, nad zatoką, oddalona o 1/2 klm. od pełnego morza. Duża, piękna plaża. Około 100 pokoi u rybaków, 2 pensjonaty.

Hallerowo. Położone nad pełnym morzem. Doskonała plaża. Hallerowo jest osadą letniskową o dużej przyszłości, zabudowuje się szybko i z roku na rok rozwija.

Chałupy. Wieś na półwyspie Helskim. Pokoje u rybaków.

Kuźnica. Wieś na półwyspie Helskim, pokoje w chatkach rybackich. Doskonała plaża.

Jastarnia. Największa wieś rybacka na półwyspie Helskim, ciesząca się frekwencją około 1000 osób sezonowo. Liczne pokoje w chatkach rybackich, pensjonaty, stołownie. Cudowne lasy. Jastarnia przylega do zatoki i do pełnego morza. Obfitość jagód czerwonych, czarnych, malin i jeżyn leśnych, grzybów, orzechów laskowych. Stacja na miejscu.

Bór. Wieś rybacka, położona nad pełnym morzem o 1 klm. od Jastarni.

Hel. Wieś na półwyspie Helskim. Lasy, pełne morze. Hotel, pensjonaty, 3 restauracje, przystań statków parowych. Lekarz i apteka na miejscu. Frekwencja bardzo liczna: około 1500 osób sezonowo.

Chłapowo. Wieś rybacka, położona nad wielkim morzem i odległa od niego o jeden kilometr. Od stacji kolejowej Łebsz odległa o 6 kilometrów; odznacza się pierwszorzędną plażą.

Jastrzębia Góra. Najpiękniej położona miejscowość nad morzem Bałtyckim na szczycie wzgórza lesistego. Pełne morze, cudowne widoki, plaża doskonała. Na miejscu 2 pensjonaty, liczne dworki. Pokoje umeblowane z pościelą. Najbliższa stacja kolejowa Łebsz.

Karwia. Położona o 10 kilometrów od granicy niemieckiej. Plaża pierwszorzędna. Odległość od stacji Sławoszyn 6 klm.

Karwieńskie Błota, czyli Holendry. Wieś niemiecka, położona o 5 klm. od stacji Sławoszyn, 8 klm. od granicy niemieckiej. Położenie wilgotne, odznacza się doskonałą plażą.

Rożewie. Wieś nad pełnym morzem, położona na wyniosłym brzegu. Plaża dobra. Odległość od stacji Łebsz 12 kilometrów. (d. c. n.) W. D

POKAZ JEDWABNICZY

I znowu doświadczalna stacja jedwabnicza w Milanówku przypomniła nam o tem, że wiele, wiele źródeł bogactwa jest u nas nietylko niewyzyskanych, lecz nieznanych prawie, że może powstać szereg warsztatów pracy, dostępnych każdemu prawie, niewymagających ani dużych kapitałów, ani inwestycji — do takich należy w pierwszym rzędzie przemysł jedwabniczy. Żle się wyraziłam: nie o przemysł jedwabniczy mi w danej chwili chodzi; przemysł duży, to jest fabryki wyrobów jedwabnych, może powstać u nas nieprędko jeszcze; ażeby mógł on powstać, potrzeba, aby się przyjęła i rozwinęła na szeroką skalę hodowla jedwabników.

Wszędzie, gdzie rośnie drzewo morwowe, nie koniecznie nawet duże drzewo, — krzew morwowy silny wystarczy, — można hodować jedwabniki, te „swojskie“ motyle, tak oswojone, jak jest bydło, lub zwierzęta domowe.

A śmiało rzec można, że morwa w dziewięciu dziesiątych Rzeczypospolitej Polskiej hodowaną być może. Możliwym jest, że będzie potrzebowała pewnej ochrony od mrozów, zawiązania gałązkami igliwia, lub słomą na zimę, jak to robimy z delikatniejszymi drzewkami owocowymi, — lecz rosnąć i wydawać obfite plony liści może, — gdyż nawet w północnem Wilnie znane są poszczególne drzewa morwowe, których liczba w jednym z ogrodów dochodzi pokaźnej cyfry szesnastu sztuk; co już zupełnie wystarcza do wyhodowania większej ilości oprzędów.

Stacja doświadczalna w Milanówku rozesłała w tym roku na najdalsze północne i północno-wschodnie kresy sadzonki morwy dla przeprowadzenia prób w tym kierunku.

W Dukaszach — na pograniczu Litwy i Łotwy, w okolicach Mołodeczna — na pograniczu Bolszewji będą robione te próby, — a są to okolice o najsurowszym klimacie, — zachód, centrum i południe Polski są wszystkie w dużo lepszych warunkach klimatycznych. Sam jedwabnik zimnego klimatu się nie boi, gdyż cały okres jego hodowli trwa tylko około sześciu tygodni, — oczywiście, najcieplejszych w roku: późną wiosną na początku lata.

Hodowla jedwabników jest najodpowiedniejszym zajęciem dla drobnego rolnika, dla właścicieli małych folwarczków, willi podmiejskich o niedużych ogródkach. Mogą się tą hodowlą zajmować osoby o słabem zdrowiu, dla których inna praca jest już zbyt męcząca, starszankowie, dorastające dzieci.

Czystość, staranność, akuratność w karmieniu liszek i oczyszczaniu pól, na których się je hoduje, są jedynymi warunkami powodzenia hodowli. Gdyż, jak już wyżej wspomniałam, jedwabniki są zupełnie oswojonemi owadami, i nietylko nie okazują skłonności do ucieczki, lecz nawet nie rozpełzają się szeroko, lecz spokojnie żerują na kupkach podanych im liści morwowych.

Nie tu jest miejsce wchodzić w detale hodowli i karmienia tych pożytecznych, zresztą nieładnych bardzo żyjątek, chodzi mi tylko o jaknajwiększe zainteresowanie tą hodowlą najszerzych kół czytelników „Bluszcza“. Może najbardziej je zachęca cyfry. Otóż, przy nakładzie czterdziestu złotych na grenę (jajeczka) jedwabników, mając w ogrodzie kilkanaście drzew morwowych, po sześciu tygodniach łatwej i lekkiej pracy, zajmującej nam najwyżej parę godzin dziennie, może-

my otrzymać na pięćset złotych kokonów (oprzędów), z których spieniężeniem, jak to, niestety, z produkcją gospodarczą często bywa, nie mamy najmniejszego kłopotu, gdyż każdą ilość nabywa chętnie stacja doświadczalna w Milanówku, która jedyna tylko dotąd rozwija oprzędy i wyrabia materiały jedwabne.

Widzę, iż przedmiot tak mię zainteresował, że odbiegłam od właściwego tematu, to jest, od pokazu w towarzystwie ogrodniczem, w Bagateli.

Niestety, zainteresowanie nim nie było tak wielkie, jakby być powinno. Na szczęście, odwiedził ten pokaz p. Minister Rolnictwa, Niezabytowski, spędził na nim godzinę przeszło, słuchając uważnie objaśnień kierownika stacji i głównego pioniera jedwabnictwa w Polsce, p. Witaczka. Minister Niezabytowski ogromnie się zainteresował tą nową dla nas gałęzią drobnego gospodarstwa, co, miejmy nadzieję, przyniesie większą korzyść jedwabnictwu, niż zwiedzanie wystawy przez parę tysięcy osób z szerokiej warszawskiej publiczności, która na wystawy chodzi, bo to jest modne, — nie odróżniając dobrze samolotu od radja, przetworów owocowych od hodowli oprzędów, byle gdzieś spacerować, spotkać znajomych i posłuchać muzyki.

Tej muzyki na pokazie nie było, nie było też, niestety, i licznej publiczności; ci nieliczni, jednak, co przyszli, widzieli mnóstwo ciekawych rzeczy i wynieśli moc ciekawych wiadomości. Bo było tam wszystko, co się tyczy hodowli jedwabnika i przerobu oprzędów na przędę i tkaninę jedwabną.

Więc, widzieliśmy grenę (jajeczka) jedwabników, wylęgarnie dla tych jajeczek, żywe liszki w rozmaitem stadium ich rozwoju, spokojnie i w skupieniu (nietylko przenośnem, lecz i dosłownem) żerujące na drobno pokrajanych liściach morwowych.

W ogromnych koszach stały gotowe kokony, (oprzędy), śliczne kremowe, złociste i prawie oranżowe (zależnie od gatunków jedwabników) kulki, gotowy towar, taki, jaki hodowca zbywa stacji doświadczalnej do dalszego przerobu.

Nieduże cyfry, podane na tablicach i wykresach, są jednak imponujące. W roku 1923, kiedy stacja doświadczalna rozpoczęła swą pracę, było w Polsce ośmiu hodowców i wyprodukowali oni czterdzieści kilogramów oprzędów. W trzy lata potem, dwustu czterdziestu hodowców wyprodukowało cztery tysiące kilogramów, — chyba na początek zupełnie dobrze to idzie. Dalej, widzimy parzenie kokonów dla usunięcia kleju, rozwijanie nici jedwabnych, cieniuchnych, jak pajęczynki, a mających moc stali, bielenie ich, tkanie na ręcznym warsztacie, takim, jak te, na których nasze włóścianki tkają swe lniane płótno.

Mamy gotowe, mięciuchne, surowe tkaniny jedwabne, a nawet śliczną sukienkę letnią, wykonaną z takiego jedwabiu przez firmę Hersego. No, a za lat dziesięć musimy mieć kilka fabryk tkanin jedwabnych, konkurujących z Lionskimi, i musimy nosić wszyscy, — jak w Chinach i Japonji, — białinę jedwabną, najzdrowszą i najprzyjemniejszą w noszeniu, — bo kiedy już jedwabie będą wyrabiane fabrycznie, a nie ręcznie, — stanieją i staną się dostępne dla wszystkich.

Pani Elżbieta.



KORAL

Jak nam wiadomo obecnie, koral jest produktem zwierzęcym, pochodzenia morskiego. Jest on polipem o rozgałęzieniach szkarłatnych, lub różowawych. Pełne koralu są prawie wszystkie morza, w szczególności zaś morze Śródziemne i morze Czerwone. Kryje je głębina od trzech do trzystu metrów, najpiękniejsze, jednak, znajdują się u wybrzeży Algeru na 25 do 30 metrów. Koral składa się z mnóstwa niezmiernie drobnych polipów, żyjących zbiorowo. Przez długie czasy uważano go za wodorost, nazywając w starożytnej Grecji tę domniemaną roślinę morską „Koralio“, czyli „Córka morza“ od kore — córka i alos — morze, z czego powstało łacińskie „curalium“, a następnie „coralium“, a w końcu — nasze koralu. Spotykamy się ogólnie w przeszłości z mniemaniem, że koral w wodzie jest miękki i dopiero wydobyty nawierzchnię, przy dostępie powietrza, twardnieje. Gallowie zdobili nim hełmy, tarcze i inne narzędzia wojenne, Rzymianie nosili odłamek i ziarna koralu, jako amulety i ozdoby, miłe bogom. Wyrabiali z niego naszyjniki dla ustrzeżenia swoich nowonarodzonych od zarazy i wszelkich chorób. Przesąd, łączący się z koralu, przetrwał wieki: w całych Włoszech spotykamy się z wiarą, że jest on ochroną od „uroku“ (jettatura), a i u nas wierzą, że koral jest odbiciem zdrowia noszącej go osoby; więc na zdrowej zachowuje połysk i piękny czerwony kolor — kiedy chora odbiera mu nie tylko blask, ale przyprowadza o śmierć, to jest o zwapnienie.

Za czasów odrodzenia koral bardzo był używany do ozdób kościelnych, z czasów tych w różnych świątyniach pozostały artystyczne zabytki.

Początkowo umieszczany między roślinami koral został następnie zaliczony do minerałów, aby w ośmnastym wieku powrócić do rzędu roślin. Dopiero w 1862 roku Lacuze-Duthiers ostatecznie dowodzi i całkowicie przekonywa, co do jego przynależności do świata zwierzęcego. Rozróżniają kilka gatunków koralu: 1) Koral czerwony, najpospolitszy, używany przez jubilerów na inkrustacje, brosze, bransolety, naszyjniki rzeźbione i toczzone okrągłe sznury koralu. Stosownie do połysku i koloru, dzieli koralu na I-ą, II-gą i III-cią kategorię, zwąc je krwawą pianką, lub krwawym kwiatem morskim. 2) Koral różowy, bardzo poszukiwany, droższy o wiele od czerwonego, służy do tych samych, co poprzedni, celów. 3) Koral biały, najrzadszy i najdroższy, różniący się jedynie barwą od poprzednich. 4) Koral czarny jest poprostu koralu czerwonym, spadłym ze skał w muł morski i przez działanie wyziewów siarkowych zmieniony w kolorze. Służy do wyrobu ozdób żałobnych. Symbole koralu są następujące: Czerwony oznacza dobroć — odwagę, różowy — wstydlwość, biały — skromność, czarny — stałość — siłę.

Spotyka się dużo fałszywych koralu, fabrykowanych z celluloidu, z kazeiny, albo z mieszaniny proszku z marmuru, kleju rybiego i cynobru chińskiego. Dla przywrócenia połysku przyćmionym koralom trzeba wymyć je w zimnej wodzie z mydłem i trochę sody, a następnie zanurzyć w gorącej, zawierającej 2% kwasu octowego i wypłókać w zimnej wodzie; suszyć na ostrem słońcu. Ciałka czerwone koralu zawierają sporo tlenku żelaza i tem się tłumaczy używanie go w dawnej medycynie, jako środka leczniczego.

Przeszliśmy różne zastosowania koralu; przyznać jednak musimy, że najwłaściwszym jest podniesienie urody młodej, hożej, polskiej dziewczyny, na której szyi prześlicznie wygląda.

J. S.



ZUPA SZPARAGOWA

Można na nią użyć chociażby najdrobniejsze szparagi, byleby nie były twarde i łykowate. Na cztery talerze zupy wziąć pół kilo szparagów, oczyścić z włókien, łebki uciąć i przechować oddzielnie, resztę pokrajać w jaknajdrobniejszą kostkę, włożyć w rondel z łyżką dobrego masła i paru łyżkami rosółu lub wody, dusić na wolnym ogniu, aż szparagi się zupełnie rozgotują. Przetrzeć przez durszlak, zaprawić łyżką maki, rozprowadzić litrem rosółu mięsnego, lub jarskiego smaku z jarzyn, osolić do smaku, wrzucić łebki i gotować jeszcze na wolniutkim ogniu, aż te ostatnie zmiękną. Do wazy wlać szklankę dobrego, niezbieranego mleka, lub słodkiej śmietanki, wbić dwa najświeższe żółtka, wymieszać dobrze razem, wlać parę łyżek zupy, wymieszać raz jeszcze, nakonec wylać resztę zupy i wydać gorącą. Oddzielnie zrumienić grzaneczki z masłem, posypane ostrym serem, i podać do tej zupy. Niektórzy kładą do wazy zielony koperek, ja uważam to za zbyt uczęstne, gdyż szparagi mają swoisty smak i aromat, którego niczem zmieniać nie należy.

OMLET PO PROWANSALSKU

Cwierć kilo szpinaku przebrać, wypłókać, ugotować w osolonej wodzie, odcedzić, przepuścić przez maszynkę do mięsa, dodać ząbek utartego czosnku. Rozpuścić łyżkę dobrej oliwy, (do naszego smaku lepiej przypadnie łyżka masła), zasmażyć w niej szpinak z czosnkiem. W głębokim garnku ubić sześć jaj trzepaczką, osolić, dodać filiżankę niedużą śmietanki, lub mleka, opieprzyć nieco białym pieprzem. Wymieszać te jaja z wystudzonym szpinakiem. Na małych patelnkach od blinów smażyć małe omleczki na obficie roztopionym maśle i natychmiast gorące podawać. We Francji do takich omleczków podają sałatę zieloną, przyprawioną obficie oliwą i niedużą ilością dobrego, najlepiej estragonowego octu.

POTRAWKA Z CIEŁĘCINY

Kilo mostku, górkę, lub łopatki cielęcej przerać na 6 — 8 równych, zgrabnych kawałków, obmyć dokładnie, nie mocząc długo w wodzie, ułożyć w rondel na roztopioną sporą łyżkę solonego masła. Dwie duże, łagodnego smaku, cebule pokrajać w talarki i cztery pomidory, lub tyleż łyżek konserwy pomidorowej włożyć do cielęciny, zalać szklanką rosółu, lub wody i szklanką lekkiego wina białego (może być owocowe), osolić do smaku, wsypać odrobinę pieprzu białego i dusić na wolnym ogniu, aż cielęcina zmięknie. Gdyby się sos nadto wydusił, rozprowadzić rosółem, albo wodą, — powinno go być obficie. Przed samem wydaniem zaprawić sporą łyżką maki, zagotować raz je-

szcze. Na półmisku obłożyć oddzielnie ugotowanym na sypko ryżem, lub grzankami przysmażanymi z bułki. Po wyjęciu zeń cielęciny, sos należy przed podaniem przeprasować przez durszlak lub sito.

ZIMNY PONCZ AMERYKAŃSKI

Jest zupełnie bezalkoholowym napojem, wobec zupełnej prohibicji, obowiązującej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej,—ponieważ, jednak, niema reguły bez małego, bodaj, wyjątku, wchodzi w skład jego wianie, konserwowane w „maraskinie”. Poza tem jest to wyborna, orzeźwiająca limonjada owocowa, łatwa do przyrządzenia, i której części składowe u nas nabyć można, co, niestety, nie o wszystkich przepisach amerykańskich można powiedzieć. Dwa kubki cukru rozpuścić w kubku wody, dolać kubek bardzo mocnej, aromatycznej herbaty, dwa kubki syropu truskawkowego, sok wyciśnięty z pięciu cytryn i z pięciu pomarańczy, półkilową puszkę ananasa konserwowanego, lub tyleż świeżego (ostatnie, oczywiście, lepsze) utartego na tarce, na koniec kubek owych wian w maraskinie, które, wobec tego, że o takie konserwy francuskie u nas trudno, radzę zastąpić wprost kubkiem likieru maraskino, wymieszać wszystko doskonale, dać postać razem godzin parę. Przelać do dużej wazy ponczowej, włożyć dużą bryłę lodu i na koniec wlać dwa syfony wody sodowej. Podawać natychmiast, aby woda gazowana nie przestała szumieć.

LEGUMINA FIGOWA

Piętnaście deka fig pokrajać w paski, nalać winem owocowym i trzymać w niem dwanaście godzin, lub więcej. Dwie bułeczki namoczyć w wodzie, lub mleku, odcisnąć, utrzeć doskonale z dwiema łyżkami cukru i czterema żółtkami. Dodać figi z winem, wymieszać dobrze. Na koniec dodać pianę z pozostałych białek. Formę budyniową wysmarować masłem, wysypać bułeczką, przełożyć figową masę, zakryć pokrywą i gotować godzinę na parze. Wyrzucić przed podaniem na półmisek i podać z zimnem mlekiem, sosem śmietankowym, lub syropem owocowym.

Pani Elżbieta.

OD 1 CZERWCA ZACZNIE WYCHODZIĆ BOGATO
ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK P. T.

„MODNE ROBOTY KOBIECE“

Każdy zeszyt stanowić będzie oddzielną całość i da sposoby wykonania najnowszych rodzajów robót kobiecych oraz wzory naturalnej wielkości.

TRZY PIERWSZE ZESZYTY PRZYNIOSĄ:

„NAJNOWSZE SPOSOBY OZDABIANIA SUKIENKI—aplikacja, haft, liworyzacja.

„NAJMODNIEJSZE SZALE“ szydełkowe i na widełkach.

ARTYSTYCZNE TKACTWO BEZ WARSZTATU.

CENA ZESZYTU 2 Zł.

Adres Redakcji — Krakowskie Przedmieście 99.

Adres Administracji — Górnośląska 19.

DO NASZYCH CZYTELNICZEK

Podajemy do wiadomości ogółu naszych czytelniczek, że prenumeratorki „Bluszczu” będą mogły korzystać nie tylko z porad kosmetycznych, lecz na dolegliwości natury kosmetycznej będą mogły otrzymywać środki kosmetyczne, które będziemy wysyłać pocztą na zamówienie za zaliczeniem pocztowym. Zamówienia prosimy kierować pod adresem: Warszawa, ul. Krucza 31, m. 3, według poniższego wycenienia.

Kosmetyki Dr. J. Świtalskiej:

„Mój Krem”	6 zł.
„Mój Puder higieniczny” we wszystkich odcieniach	4 zł. 50 gr.
Galaretka na łojotok Nr. 1, Nr. 2, Nr. 3.	5 „
Krem po goleniu	5 „
Krem na łupież	5 „
Krem na piegi	6 „
Szampon higieniczny	2 „
Płyn do wzmocnienia włosów	6 „
Mydło liljowe	3 „ 50 gr.
Perełki do kąpieli przemennych	5 „
Perełki do pielęgnacji biustu	5 „
Krem do rąk	3 „
Pomada do włosów dla dorosłych i dzieci	5 „

Prenumeratorki „Bluszczu”, które pragną otrzymać środki kosmetyczne, powinny przysyłać w swych listach następujące szczegóły: stan zdrowia ogólny i przebyte cierpienia, obecne dolegliwości. Co do włosów: 1) czy włosy są tłuste, 2) czy jest łupież, 3) czy były leczone, i z jakim skutkiem, 4) czy są myte, 5) jak często, 6) czy włosy rozdławiają się na końcach? Poza tem subiektywne uczucie pieczenia, śwędzenia i t. d. Co do cery: czy jest tłusta, sucha, czy wrażliwa na mydło i wodę, jaka woda jest używana do mycia, czy są krosty, pory, wągry, liszaje i plamy.

KORESPONDENCJE

Jednej z wielu—Kraków. Za miłe wyrazy uznania dla naszej pracy serdecznie dziękujemy. Niezmiernie cieszymy się, że Panie odczuły i zrozumiały nasze cele. Z korzyścią uprzyjemniać czas, ułatwiać, o ile tylko można ciężkie nieraz bardzo zadania życia kobiet, uniezależniać je przez udzielanie jaknajwięcej użytecznych wiadomości, oto nasze zadania. Z przyjemnością podamy w najbliższych numerach naszego pisma żądane wskazówki roboty kwiatów. Co do kłopotów z kaszą na sypko i w kostkę, myślę, że to jest owa „zawsze nieudana siekanka”. Postaram się na nie poradzić, dając dokładny przepis gotowania tej „trudnej” potrawy. Prosimy o dalsze zaufanie do „Bluszczu” i wiarę, że pragnie on jedynie dobra swoich czytelniczek.

Jak gotować kasze (na żądanie)

Wszystkie kasze, kaszki i ryż najlepiej gotować w kamiennych garnkach, bo w innych naczyniach łatwo się przypalają. Jeżeli kasza ma być sypka, trzeba zagotować tyle tylko wody, aby dobrze kaszę przykryła. Przed zasypaniem woda musi wrzeć, należy ją posolić (za wyjątkiem kaszy krakowskiej, którą soli się w ostatniej chwili, żeby nie ściemniała). Włożyć sporo tłuszczu, bo to jest jeden z głównych warunków, aby kasza była sypka. Zasypawszy, raz tylko ją zamieszać, chwilę gotować nawierzchu, a potem, nie mieszając już więcej, przykryć i wstawić na godzinę, lub dwie, zależnie od gatunku kaszy, do pieca, aby się wyprużyła.

Kasza gryczana gruba. Na litr gotującej osolonej wody wlać 10 dkg. przesmażonej słoniny, wysypać pół litra kaszy. Chcąc przekonać się, czy dosyć gęsta, trzeba ją zamieszać i włożyć łyżkę: o ile łyżka stoi—to dosyć, o ile się przewraca—dosyć kaszy. Dobrze wymieszać, ściemniać przykryć i wstawić w piec pod blachę na godzinę, lub dwie; nie odkrywać, niech się dobrze wypruży. Wydając, polać suto słoniną.

Kasza jęczmienna gotuje się tak samo, z tą różnicą, że się jej trochę więcej zasypuje i dużo dłużej gotuje.

Kasza krakowska drobna na sypko. Rozpuścić w garnku kamiennym 10 dkg. masła świeżego, w gorące masło wsypać, mieszając, litr drobnej tatarskiej kaszki, zatartej poprzednio jajkiem i zupełnie wysuszonej. Wymieszawszy dobrze, postawić na chwilę w maśle, aby kaszka niem nasiąkła, potem dodać do niej sporo drobnutko usiekanego koperku, wlać wody gotującej tyle, aby kaszkę objęła, nakryć i wstawić do piecyka, nie

poruszając. Skoro wyprużona dostatecznie, podać. Solić na wydaniu bardzo miłą solą, a będzie zupełnie biała.

Kaszka krakowska w kostkę do rosołu. Wsypać kaszkę krakowską do gotującej się osolonej wody bez masła, ugotować ją na gęsto tak, aby dała się rozsmarować dość cienko na oblanym wodą porcelanowym półmisku, zostawić w zimnie do zastygnięcia, a przed wydaniem pokrajać w drobną kostkę i wrzucić do wazy. Zасыpując rosół kaszką drobną krakowską, aby uniknąć jego zbielenia, wrzucić ją do gorącej wody, raz zagotować, dobrze odcedzić, przelać zimną wodą i dogotować w rosole; będzie klarowny, a kaszka — przezroczysta.

Pani J. L. Pomorze. Plamy ze smarowidła od kół powozowych trzeba czyścić eterem, lub benzyną, dopóki tłuszcz nie będzie w zupełności usunięty. Gdy to nastąpi, próbować czyszczenia plamy wodą mydlaną, terpentyną francuską, a nawet kwasem solnym, każdy kolor bowiem inaczej reaguje na powyższe środki, a szary kolor jest specjalnie wrażliwy. Z chwilą zniesienia prerogatyw dla tytułów i herbów, zniesiono również instytucje, zajmujące się ich sprawami, jako bezcelowe — jedynie adwokaci zajmują się nimi.

Pani Wandzie. O ile ma być po ślubie śniadanie, godzina 12-sta jest właściwsza. Co do przyjęcia, nie znając zupełnie warunków, trudno mi udzielić wskazówek; najlepiej zastosować się do tego, co po niezbyt wygórowanej cenie w miejscu zamieszkania mieć można. Sądzę, że rosół w filiżankach z pasztecikami, pieczywem i legumina wystarczą — można dodać szparagi, jeżeli o nie łatwo, a na pieczywie dać kurczętka — do nich podać sałatę. O ile na śniadaniu ma być młodzież przeważnie, takie menu może być za mało nasycające, trzeba zatem dać dobre zakąski przed rosołem, albo zamiast kurcząt — solidniejsze pieczywo. Bardziej eleganckie byłoby zakąski, które chcąc uprzyjemnić, można złożyć z szynki na gorąco, jakiej ryby w majonezie, lub galarecie, i pozatem trochę drobnych przystawek.

Do białej sukni, zawsze najładniejszej, konieczne białe pantofelki; można wziąć kostium koloru jasno piaskowego, wtedy ładnie będą pasowały pantofelki karmelkowe — pan młody powinien mieć garnitur żakietowy, panna młoda kapelusik, do białej sukni — biały, do piaskowej — szamkowy jasny. Rodzinę trzeba prosić ustnie, lub piśmiennie, a zawiadomienia, o ile nie zależy Pani na ilości osób w kościele i telegramach z życzeniami w dzień ślubu, można rozesłać po ślubie.

Wraz z garstką informacji przesyła Sz. Pani „Bluszcz” najlepsze życzenia i prosi nadal o zaufanie, któremu zawsze starać się będzie godnie odpowiedzieć.

Pani E. F. z Kurowic. Jeżeli kilimy są robione z czystej wełny, dobrze farbowanej, można, rozłożywszy je na grubym płótnie, prać letnią wodą z rozgotowanym mydłem. Jeżeli kolory nie pewne, wycierać miejsce przy miejscu benzyną, naturalnie też na podkładzie z grubych prześcieradeł, suszyć rozciągnięte na podłodze, między dwoma płótnami.

Szarotce. Materiały z lekkiej wełny bardzo są modne; najładniej będzie zrobić całą suknię, ozdobić można haftem krzyżkowym, dziś najmodniejszym. Haftować można wełnami w bardzo barwnych kolorach. Wzory haftów krzyżkowych podajemy w dodatku mój w „Bluszczu”.

Prenumeratorce z Wieliczki. Pasy do portjer haftuje się na szarem płótnie, wykończonym z brzegu szerokim obrębem mierzewkowym. O 10 lub 15 cm. od obrębu rozpoczyna się szlak. Portjerzy zakładają się na prętach metalowych, z kółkami do ściągania. To jest najświeższy sposób zakładania portjer. Jeżeli Pani woli, można zrobić węższe pasy po dwóch bokach i połączyć je takim samym prostym lambrekinem z płótna, wyhaftowanym w ten sam deseń. Festonów nie używa się zupełnie.

Przepis na galaretkę śmietankową załączam: 20 dkgr słodkich i 40 sztuk gorzkich migdałów sparzyć, obrać i puścić przez maszynkę. Zagotować litr słodkiej śmietanki, sparzyć nią migdały na salaterce, niech postoją nakryte z godzinę; wtedy odcedzić śmietankę przez czystą serwetę, wycisnąć migdały do sucha, przemleć je jeszcze raz, przeparać powtórnie tą samą śmietanką, znów wycisnąć do sucha migdały, zagotować śmietankę z 20-ma dkgr. cukru wlać 4½ do 5 dkgr. rozpuszczonej w mleku żelatyny i wynieść na zimno dla zastygnięcia.

Pani D. F. Kruszwica. Robót z rafii nauczy się Sz. Pani w szkołach freblowskich, gdzie i podręczniki tych wyrobów dostanie Pani, lub w Warszawie u pani Onichimowskiej, Krucza 19.

Pani L. P. Biłgoraj. Żadaną książkę dostanie Sz. Pani w Warszawie, w księgarni arcta, Nowy Świat 35. Autor: Popard, tytuł: „Gimnastyka rytmiczna”.

Panu B. O. Brześć nad Bugiem. O Radjo niech się Sz. Pan zwróci do firmy J. Miller — Bielańska 4, do kierownika oddziału Radjowego inżyniera Wojno, lub do Pol. Radjo — H. Europejski w Warszawie, Krak.-Przedmieście.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Liszaje wiosenne. Ogólna odpowiedź z powodu wielkiej ilości listów na ten temat, proszę o łaskawe przeczytanie zainteresowanym czytelnikom.

Liszaje występują w postaci drobnych guzków na zaczerwienionej skórze najczęściej na wiosnę i w jesieni. Działanie wiatrów i słońca sprzyja tworzeniu się liszaj. Doskonały środek przeciw liszajowi jest „Mój Krem”, usuwa w kilku dniach zmiany na skórze, należy stosować 2 razy dziennie, rano i wieczorem, na dzień zaś przypudrować pudrem. Do mycia twarzy podczas występowania liszaj używać tylko oliwę wprzeciągu paru dni, następnie, myć twarz wodą letnią bez mydła z dodatkiem łyżeczki boraksu i łyżeczki gliceryny. Na wycieczkach turystycznych bardzo dobrze jest dla zapobiegania i ochronienia skóry stosować „Mój Krem”.

Ogólna odpowiedź na piegi. Bardzo dużo pytań na ten temat. Występują zwykle na wiosnę i latem. Na najbardziej delikatnej skórze pojawiają się brunatne plamki, polegające na odkładaniu się barwnika, znajdującego się we krwi. Piegi radykalnie usunąć się nie dadzą. Piegi występują na skórze delikatnej, zwłaszcza u blondynek. Należy być ostrożnym w wyborze środków, by nie zdrażnić skóry. Ogólne wskazówki: unikać słońca, używać pewne kolory na parasolki, lub woalki: kolor czerwony i brązowy, ma działać ochraniająco. Piegi nie dadzą się radykalnie usunąć, Piegolin usuwa piegi wprzeciągu 2—6 tygodni, następnie należy leczenie ponowić. Przy odpowiednim zastosowaniu wystarczy 2 razy do roku używać maść na piegi.

Niezapominajka z Mławskiego. Proszę spróbować „Mój Płyn” do włosów, używać 6 tygodni, cena 6 zł., 1 zł. porto. Proszę o podanie dokładnego adresu. Ten sam płyn na brwi, nigdy na rzęsy. Do mycia włosów jajeczka — sposób użycia przy opakowaniu — 6 porcyj 3 zł.

Czytelniczce Jadwidze. Lampa kwarcowa. Ilość naświetlań, oraz czas naświetlania może tylko określić lekarz ordynujący.

Lalka. Sokiemy cytrynowym można wycierać skórę raz w tygodniu, o ile to nie drażni skóry. Na piegi, oraz na wybielenie proszę czytać ogólną odpowiedź.

Wiśnia. Bliznę po nieodpowiednim wypaleniu brodawki, usunąć można zapomocą diatermji. Nigdy nie można być pewnym efektu. Może nastąpić tylko poprawa. Natomiast brodawki bez śladu usuwa się zapomocą diatermji i elektrolizy. Nie należy nigdy traktować samej lapsem, lub żrącymi maściami, najczęściej brodawka odrasta, lub pozostawia po sobie okropną bliznę.

Czytelniczce z Łodzi. Na włosy i cerę spróbować naświetlanie górskie. Jak należy naświetlać, może tylko rozstrzygnąć miejscowy lekarz specjalista. Wskazówki na odległość są niemożliwe. Czytaj odpowiedź ogólną „Naświetlającej się”; światło górskie, t. j. kwarcówka.

Marceli J. Proszę jaśniej podać, jaką dziedziną lekarską Pani się interesuje.

Dance. P. Dr. Świtalska przyjmuje przed południem jedynie panie, przyjeżdżające z prowincji.

Stała Czytelniczka „Bluszczu” M. M. Sport jest dobry i pożyteczny dla każdego zdrowego organizmu; należy koniecznie upewnić się przedtem, co do swego stanu zdrowia u lekarza chorób wewnętrznych. Jakie sporty należy uprawiać, nie można zgóry przesądzić, zależy to od sił fizycznych, warunków życiowych i zamiłowań. Zimą ślizgawka, saneczki, latem — gry ruchowe, tenis, piłka, konna jazda, i t. d. Przez cały rok — spacer, gimnastyka i masaże. Gimnastyka, odpowiednio, nie forsownie prowadzona, daje doskonałe wyniki dla zdrowia i estetycznego wyglądu.

Zośce. Plamy należy usuwać złuszczać maściami. Bardzo dobre wyniki daje światłolecznictwo. Bez zbadania skóry nie można używać środków żrących.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239.40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18